

TATERNIK

1
1998



Spis treści

Paskudna alternatywa	1
10 dni w Dolomitach	2
Polacy w jaskiniach Polski i świata	4
Kilka drobiazgów i Mont Blanc	7
Ost Göll '97	11
Petit Dru – jesień '97	12
Jaworowy Mur od północy	14
Z księgarskiej półki	21
Jak to jest?	22
Przewodnik po Alpach Bawarskich .	23
Raptawicka Turnia – diretissima ...	24
Wyprawa na Zachód	26
Listy – polemiki	29
Wieści z gór	32
Sprawy różne	34

Zdjęcie na okładce: Zimą w Tatrach
Fot. Andrzej Kłos

Zdjęcie obok: Pod nawisem

ISSN 01373155

www.pza.org.pl



Jacek Patrzykont

Paskudna alternatywa

Piszę ten tekst ku przestrodze. Bo niby wszyscy wiedzą, że trzeba, ale czasami z różnych przyczyn nie dopatrzymy lub przymkniemy oko. Rzecz dotyczy zabezpieczenia się instruktora przed ewentualnymi skutkami wypadku kursanta. Opowiem o moich perypetiach.

W listopadzie 1996 r. organizowałem w warszawskim Sklepie Podróżnika przeszkolenie wspinaczkowe – tzw. korepetycje ze wspinania (5 spotkań – pogadanek i dwukrotny wyjazd na bunkry). Na pierwszych zajęciach bunkrowych pokonywaliśmy betonowe skały o wysokościach od 1,7 do 3 metrów. Na jednej ze ścianek znajdująca się ok. 1,5 metra nad ziemią kursantka, nie mogąc pokonać przeszkody, zeskoczyła tak fatalnie, że złamała kości podudzia na wysokości końca skarpetek. Akcja: pogotowie, szpital... Nogę złożono, wszystko wydawało się być OK.

Po trzech miesiącach poszkodowana zatelefonowała do mnie oświadczając, iż doszła do wniosku, że wypadek był zawiniony przeze mnie i będzie kierować sprawę do sądu. Oczywiście opisuję całą sprawę w bardzo dużym uproszczeniu i skrócie, pomijając fakty nieistotne dla czytelnika. W jakiś czas potem faktycznie otrzymałem wezwanie. Sprawa toczyła się w Sądzie Wojewódzkim i wyrok zapadł na moją korzyść. Podobnie w Sądzie Apelacyjnym, do którego się odwołała. Dużo nerwów i straconego czasu. Zamknięcie sprawy nastąpiło w styczniu 1998 r.

Pomimo że kurs nie podlegał regulaminowi PZA (który nie uwzględnia takich szkoleń), były przestrzegane zawarte w nim wymagania, m.in. co do ilości osób szkolonych. Kursanci zostali poinfor-

owani o sposobie wykonywania ćwiczeń, o zagrożeniach oraz o tym, że jeśli nie czują się na siłach lub nie chcą, mogą odstąpić od ćwiczeń. Wszyscy byli pełnoletni. Wszystko najpierw demonstrowałem, a potem nadzorowałem wykonywanie przez kolejne osoby – normalna praca instruktora.

Tak też brzmiały zeznania świadków – uczestników szkolenia i tak zeznawała sama poszkodowana. Swoje roszczenia opierała na zapisie w przepisach PZA (a ściślej – w zasadach bezpieczeństwa będących załącznikiem do zarządzenia przewodniczącego GKKFIS w sprawie uprawiania alpinizmu), w którym jest mowa, iż nie można się wspinąć bez asekuracji, a w dodatku bez sprzętu. W tej kwestii bardzo ważne okazały się zeznania świadka Wojciecha Święcickiego, który potraktowany jako biegły wyjaśnił, że takie formy ćwiczeń przed właściwym wspinaniem są powszechnie przyjęte i dopuszczalne. Było to niezwykle ważne stwierdzenie, albowiem faktycznie przepisy są w tej kwestii nieco „przeterminowane”.

Prawdopodobnie sprawy by nie było wcale, gdybym zabezpieczył się na początku szkolenia oświadczeniem pisemnym o świadomości kursantów, co do zagrożeń wynikających z wykonywanych ćwiczeń i o ewentualności urazów. Na kursach od skalkowego wzwyczaj takie oświadczenie jest już chyba powszechne. Teraz wiem, że warto je mieć przed rozpoczęciem nawet najbanalniejszych ćwiczeń w terenie lub na sztucznej ścianie. Bardzo ważną sprawą jest posiadanie poświadczonych pisemnych zezwoleń od rodziców kursantów poniżej 18. roku życia i nielitowanie się nad nikim, kto jakiegóż kwitka czy zaświadczenia zapomniał.

W czasie rozprawy sądowej została wyjaśniona kwestia ubezpieczenia NW. Instruktor nie ma obowiązku informować kursanta o możliwości ubezpieczenia się. Ubezpieczenie jest indywidualną sprawą ćwiczącego. W praktyce jednak lepiej jest wymagać takowego ubezpieczenia lub dodać odnośny punkt w oświadczeniu.

Radzę także, choć wiem, że nikt nie robi inaczej, mieć pod dokładną kontrolą cały zespół i jednak przestrzegać regulaminów i przepisów PZA – m.in. co do ilości szkolonych osób. A w razie wypadku, w którym nastąpił uszczerbek na zdrowiu, opis zdarzenia i podpisy świadków zebrać na bieżąco. W razie nieprzestrzegania zasad bezpieczeństwa i regulaminów, sytuacja z pozoru banalna może nabrać niezwykle przykrego dla nas obrotu. Sprawa sądowa jest bowiem tą paskudną alter-

natywą do satysfakcji i „kupy szmalu” (którą w powszechnym mniemaniu mamy ze szkolenia).

Jest oczywiste, że musimy mieć aktualne ubezpieczenie OC w związku z wykonywanym zajęciem i to najlepiej na rozsądną kwotę (kursantka skarżyła mnie na 32 000 PLN). Byłem ubezpieczony w TUiR „Warta”, które pokryło wydatki sądowe i zapewniło mi adwokata. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że w razie udowodnienia nam rażącego zaniedbania obowiązków, ubezpieczyciel odstępuje od ubezpieczenia i zostajemy sami...

Sędziowie słabo znają się na wspinaniu, a aktualne przepisy i regulaminy PZA mają trochę luk spowodowanych upływem czasu od ich ustanowienia. Kończąc, życzę wszystkim szkolącym instruktorom bezawaryjnych sezonów i miłych oraz zdolnych kursantów.

Piotr Wroczyński
Krzysztof Jacques

Dziesięć dni w Dolomitach – propozycja druga



Piotr
Wroczyński

Pobyt w Dolomitach, który opisaliśmy w Taterniku nr 2 z 1997 roku, tak bardzo nam się podobał, że postanowiliśmy pojechać tam jeszcze raz. Cały rok wspomnień, treningów, długich rozmów zarówno o drogach, które przeszliśmy, jak i o tych, które zamierzamy przejść, i ponowny wyjazd. Pisząc poprzedni, jak i ten artykuł, o bardzo zresztą podobnych tytułach, chcieliśmy przede wszystkim, aby nasze wspomnienia miały charakter **propozycji na wyjazd**, na spędzenie urlopu w górach, na przygodę górską połączoną z wypoczynkiem.

Wyprawa nasza wisiała na włosku, ze względu na powódź jaka nawiedziła Polskę. Do ostatniego dnia pod wrażeniem katastroficznych komunikatów radiowych nie byliśmy pewni czy wyjazd dojdzie do skutku, czy nie. W końcu pojechaliśmy. I bardzo dobrze, na trasie Warszawa – Cieszyn – Ołomuniec – Brno ani śladu powodzi.

Tym razem zmieniliśmy trochę taktykę w stosunku do wyjazdu poprzedniego. Wyjechaliśmy z Warszawy po południu nocując w motelu 20 km przed Cieszynem (umiarkowane ceny). Rano

o świcie przekroczyliśmy granicę i w ten sposób byliśmy wieczorem w Dolomitach, unikając męczącej podróży nocą. Zmieniliśmy również trasę podróży jadąc z Willach przez góry Lienzu do Cortiny d'Ampezzo, gdzie spędziliśmy pierwsze dni naszego pobytu w Dolomitach, nocując na campingu „Omega”, położonym kilka kilometrów od miasta.

Na początku wspinaliśmy się w rejonie Cinque Torre, w pięknej, niewielkiej grupie skalnej, oferującej oprócz typowych dróg skałkowych poważniejsze drogi wielowyciągowe. U podnóża ścian znajduje się małe schronisko, do którego można dojechać samochodem, jadąc bardzo wąską i stromą asfaltową szosą. Rejon ten jest odwiedzany przez wielu wspinaczy nie tylko ze względu na walory sportowe, ale również krajobrazowe.

W pierwszych dniach naszego pobytu w tamtym rejonie zrobiliśmy około 20 dróg skałkowych o trudnościach od 6a do 6b+. Traktowaliśmy przejścia jako element zdobywania formy, robiąc je w stylu OS i nie atakując dróg poważniejszych. Można by z nich, ze względu na duży ciąg trudności i ogólną



Widok spod Tre Cime di Lawaredo. Od lewej stoją: Piotr Wroczyński i Krzysztof Jacques

estetykę, szczególnie wyróżnić piękną dwuwyciągową drogę na Torre Trepbor o trudnościach 6b+, 6b. Z innych ciekawszych wielowyciągowych przejść na szczególną uwagę zasługuje piękna droga Dimai na Cimie Sud z siedmioma wyciągami w ładnej, eksponowanej skale (najtrudniejszy 6a+), oraz „Finlandia” na Cimie Nord. Ta ostatnia oferuje elegancką, pięciowyciągową wspinaczkę, wiodącą łatą, lekko przewieszoną płytową ścianą w zupełnej ekspozycji i przy wiszących stanowiskach (2, 6a, 6b, 6b, 6a).

Z Cortiny d’Ampezzo przenieśliśmy się na camping w Misurinie, o standardzie znacznie gorszym niż camping „Olimpia” (np. brak ciepłej wody), ale zdecydowanie tańszy. Najpiękniejszą naszą wspinaczką w tym rejonie było przejście w stylu OS drogi Comiciego na Cimie Grande di Lawaredo. Droga ta jest bardzo popularna i codziennie wspina się na niej po kilka zespołów naraz. W związku z tym wszyscy, którzy nie chcą przeżywać dużych emocji, jak w naszym przypadku, wynikających ze spadających lawin kamiennych zrzucanych przez wcześniejsze zespoły, powinni zdecydowanie starać się być pierwszym, a nie ostatnim zespołem. Pomimo czy właśnie dlatego, że droga ta jest tak bardzo popularna, o klasie jej decyduje zarówno imponująca ściana (szesnaście wyciągów w skali VII, w dolnej części przewieszonych), jak i skomplikowane zejście, bardzo trudne w złych warunkach pogodowych, np. we mgle. Pomimo zimna (północna ściana i dość znaczna wysokość), droga ta oferuje piękną wspinaczkę w dużej ekspozycji i przy dobrej asekuracji (wystarczy komplet kostek i friendów).

Drogę tę udało nam się przejść czysto klasycznie w dobrym czasie. Z dużą satysfakcją patrzyliśmy jak członkowie innych zespołów „masywnie rwali z buły”, chwytając się haków w trudniejszych miejscach.

Ubiegłoroczny pobyt nasz w Dolomitach uważamy za udany z wielu względów, a przede wszystkim dlatego, że osiągnęliśmy większość naszych celów sportowych w stosunkowo krótkim czasie (siedem dni działalności górskiej) i przy dość niepewnej, zmiennej pogodzie. Prezentując mniej znany polskiemu środowisku wspinaczy rejon Cinque Torre, pragniemy nawiązać również do pojawiającej się w ostatnich czasach tendencji „krótkich wyjazdów” w eksploracji Dolomitów. W latach siedemdziesiątych dominowały w Polsce wyprawy duże, organizowane przez centralne lub środowiskowe kluby wspinaczkowe z kilkutygodniowymi pobytami w okolicy różnych masywów skalnych. Obecnie, wobec „notorycznego braku czasu”, rozwoju sztucznych obiektów wspinaczkowych, jak i rozwoju motoryzacji, atrakcyjne stają się wyjazdy krótkie, umożliwiające w stosunkowo niedługim czasie osiągnięcie wysokiej formy i ataku na jeden czy kilka poważniejszych celów. Właśnie przełęcz Sella, opisywana w poprzednim artykule, Cortina d’Ampezzo wraz z grupą Cinque Torre, czy w końcu grupa Tre Cime spełniają wszystkie warunki takich wyjazdów, a nasze ostatnie pobyty w Dolomitach są tego dobrym przykładem.



Zjazd z Torre Trepbor

Polacy w jaskiniach Polski i świata w 1997 roku

Ostatni artykuł podsumowujący polską działalność jaskiniową (Taternik 3/1997) zakończyłem pytaniem o kondycję i przewidywane kierunki rozwoju naszego alpinizmu podziemnego. Rok 1997 nie przyniósł odpowiedzi na to pytanie, gdyż nasza działalność utrzymała się na podobnym do ubiegłorocznego poziomie. Zabrakło jednak spektakularnych wydarzeń.

Za granicę wyruszyło jak zwykle kilka wypraw. Najwięcej wiemy o tych, które były wyjazdami wspieranymi przez KTJ PZA, gdyż ich kierownicy zobowiązani są do składania sprawozdań. O innych, które siłą rzeczy zostały pominięte w tym podsumowaniu, być może przeczytamy w pismach klubowych lub górskich periodykach. O działalności w kraju więcej dowiedzieć się można z ustnych przekazów niż ze „słowa pisanego”. Sytuację tę mogłoby zmienić regularnie wychodzące pismo (np. Jaskinie) tworzone siłami całego środowiska. Od lat pozostaje to w sferze pobożnych życzeń.

Jak zwykle nasza działalność zagraniczna skupiła się na Salzburkskich Alpach wapiennych, które w miesiącach letnich odwiedziło 6 wypraw.

Po rocznej przerwie, pod koniec lipca, w masywie Leoganger Steinberge pojawiła się wyprawa Krakowskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego i Speleoklubu Warszawskiego. Kierownikiem, jak w latach ubiegłych, był Andrzej Ciszewski. Celem było połączenie systemu Lamprechtsofen z wyżej położoną jaskinią PL 2. Prace prowadzono równoległe w obydwu jaskiniach. Podczas gdy w PL 2 pokonywano trudny nitowy trawers, w Vogelschacht* przekopano się do labiryntowego ciągu korytarzy, którymi zbliżono się do PL 2. Dalsze wysiłki eksploracyjne nie doprowadziły do oczekiwanego połączenia. Sukcesem wyprawy pozostało więc odkrycie ok. 1000 m nowego terenu. Obie jaskinie dzieli wciąż 25 m. Może się jednak okazać, że pokonanie tej odległości w czasie następnej wyprawy nie będzie proste.

Na przelomie lipca i sierpnia Rajmund Kon-

dratowicz kierował zagańską wyprawą w masyw Tennenberge. Głównym celem była dalsza eksploracja jaskini Bleikogelhöhle, w której w zeszłym roku w pięknym sportowym stylu osiągnięto -1010 m. Wyprawa zaatakowała otwarte problemy, które dawały szansę na pogłębienie jaskini. Eksploracja na poziomie -930 m doprowadziła do odkrycia ciągu sprowadzającego na głębokość -1021. Jaskinia została pogłębiona, nie wykorzystano jednak wszystkich możliwości eksploracyjnych (por. T 3/97, s.28).

Celem kolejnej wyprawy AKG AGH w Tennenberge była kontynuacja prac odkrywczych w rejonie Kemetstein w południowej części masywu, a przede wszystkim dalsza eksploracja w jaskiniach Ariadna i Marii Śnieżnej. Bardzo perspektywiczna jest nowa jaskinia Wermutsnaithöhle, która ma obecnie ok. 1 km długości i 200 m głębokości. Ogółem w czasie trwania wyprawy odkryto ok. 2 km nowych korytarzy. Kierownikiem krakowskiej wyprawy był Marcin Krajewski.

Tradycyjnie już na przelomie lipca i sierpnia w masywie Hoher Göll działali członkowie Katowickiego Klubu Speleologicznego. Ich poczynaniami kierował Zbigniew Rysiecki. Wyprawa kontynuowała działalność w jaskiniach wschodniej części masywu. Dołożono „nowe metry” w jaskiniach Scharfenschacht (1082 m długości i 547 m głębokości) i Kammerschartenhöhle przedłużając ją o 200 metrów. Dalsze prace w tych jaskiniach będą prowadzone za rok.

W tym samym czasie, nieopodal katowicz, we wschodniej części Hoher Göll działała wyprawa Sekcji Grotolazów Wrocław. 14-osobową ekipą kierował Marek Wierzbowski. Głównym celem wyprawy była kontynuacja eksploracji jaskini Ogra (Ogrschacht) i próby dołączenia do niej jaskiń z sąsiedztwa: Księżycowej (Mondhöhle) i Jaskini Skrzata (Koboldschacht). Niestety, żadnej z tych jaskiń nie udało się dołączyć, jedynie wyeksplorowanie nowych korytarzy w Jaskini Ogra zbliżyło ją do Jaskini

Skrzata o 150 m. Odkryto też kilka nowych grot, z których najciekawsza – Jaskinia Śnieżna (116 m głębokości i 160 m długości) rokuje spore nadzieje na przyszłość.

W masywie Steinernes Meer, na granicy Niemiec i Austrii, działała ekipa krakowskiej Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego. Głównym celem wyprawy kierowanej przez Macieja Tomaszka była kontynuacja zeszlorzona działalności, w czasie której w jaskini GK-3 natrafiono na obiecujący horyzontalny ciąg poprzecinany licznymi studniami i kominami. Niestety, ani w GK-3, ani w nowo znalezionych jaskiniach nie udało się osiągnąć znaczących wyników eksploracyjnych. Góry te pozostają wciąż jednym z najsłabiej poznanych masywów wapiennych Alp Salzburskich.



Autor artykułu w jednej z tatrzańskich jaskiń

Fot. A. Gajewska

W hiszpańskim Picos de Europa działała kolejna wyprawa Speleoklubu Wrocław. Poczynaniami wrocławskich grotolazów kierował Marek Jędrzejczak. W trakcie wyjazdu nie zrealizowano głównych jego celów, jakimi było rozbudowanie systemów Pozu del Porru la Capilla i Sistema del Jou de la Canal Parda przez dołączenie do nich wyżej położonych jaskiń. Rozpoznanie nowych otworów oraz eksploracja kilku mniejszych obiektów, choć nie należy do znaczących sukcesów wyprawy, przyczynia się jednak do lepszego poznania masywu.

Po kilku latach nieobecności Polaków we włoskich Apeninach, w Góry Matese wybrała się ekipa Speleoklubu Dąbrowa Górnica. Ośmioosobową wyprawą kierował Maciej Włosek. W trakcie wyjazdu dokonano sportowego przejścia Cul di Bove (-906 m); prowadzono również prace eksploracyjne w okolicy wspomnianej jaskini i w masywie Monte Gallinola.

Z wypraw egzotycznych w omawianym roku odnotować należy międzyklubowy wyjazd grotolazów z Żagania, Częstochowy i Sosnowca do Meksyku. Głównym polem działania wyprawy była Cueva Santa Cruz w stanie Chiapas. W równie ciekawym, choć nie tak egzotycznym miejscu, działała kolejna polska wyprawa do jaskiń Sardynii. Tym razem byli to członkowie krakowskiej STJ pod wodzą Michała Gradzińskiego.

Obiecującą nowością były treningowe nurkowania zorganizowane w sierpniu przez Sekcję Grotolazów Wrocław w podmorskich systemach wywieziskowych w rejonie Cassis (Francja). Kilkuosobowej ekipie przewodził Wiktor Bolek, a obszerną relację znaleźć można w poprzednim numerze (T. 4/97, s. 3-5).

W kraju

Najciekawsze wydarzenia, podobnie jak w latach ubiegłych, miały miejsce w tatrzańskiej Wielkiej Śnieżnej. W lutym ekipa Speleoklubu Warszawskiego, która pierwotnie chciała kontynuować prace w Warszawskich Kaskadach, przeniosła się w okolice Sali Trójkątnej (patrz T. 2/97, s. 34). Tam, 33 m nad jej dnem, udało się wejść w nowy ciąg nazwany przez odkrywców Partiami Amoku. Do końca roku wyeksplorowano w nich 387 m, a problem wciąż pozostaje otwarty. W czasie biwaków eksploracyjnych udokumentowano również 343 m znanych od dawna, a nie skartowanych korytarzy obejścia Wielkiej Studni. Pracami warszawskich grotolazów kierował Stefan Stefański.

W innych ciągach naszej największej jaskini działały zespoły wrocławskie. W Przemkowych Partiach w czasie dwu akcji kierowanych przez Marka Wierzbowskiego (SG Wrocław) odkryto ok. 350 m nowego. Prace w tych liczących prawie 2 km partiach będą prowadzone także w przyszłości. Sukcesywnie rozpoznawane są też, uznawane za krucho i niebezpieczne, Partie za Kolankiem. Efektem działań zespołów kierowanych przez Rafała Mateję i Marka Wierzbowskiego z SG Wrocław jest poznanie 1500 m ciągów (licząc od Komina Kolankowego). Kilka odgałęzień tych partii podchodzi pod ścianę Wielkiej Turni. Na podstawie prac geodezyjno-kartograficznych eksploratorzy spodziewają się odkryć nowy otwór (otwory?) systemu. Największe nadzieje wiązane są ze znanymi jaskiniami: Wilczym Schronem, Świstową Studnią czy Dziurą pod Świstową Studnią. Bardzo ciekawe i perspektywiczne są dwa inne przodki eksploracyjne tych partii, kierujące się ku plateau Kotlin.

O nowy otwór wzbogaciła się Jaskinia Kozia. Sygnalizowałem w poprzednim artykule zbliżenie

się ciągu okolic Boczno Korytarza do powierzchni. Zespół KKTJ kierowany przez Jana Kućmiera przekopał się na powierzchnię. W ten sposób nowy otwór jaskini w zboczach Machajówki stał się faktem. Wykorzystanie go ułatwi i skróci w przyszłości dojście do głębszych partii Koziej oraz pozwoli ominąć kruche i niebezpieczne fragmenty jaskini.

Trochę mniej aktywni byli w 1997 roku nurkowie jaskiniowi. Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku dadzą powód do napisania o nich więcej. Niemniej w końcu lutego Krzysztof Starnawski wraz z Andrzejem Czubalskim (obaj SW) ponownie przenurkowali syfon w Wielkich Kominach w Jaskini Miętosiej. Odkryli za nim około 300 m suchych korytarzy doprowadzających do wielkiego podwieszono syfonu. Być może stanie się on kolejnym celem tatrzańskich nurków.

Po raz kolejny doszło do sensacyjnego odkrycia w Górach Świętokrzyskich. W czerwcu członkowie Speleoklubu Świętokrzyskiego ponownie zainteresowali się Schroniskiem Pajęczym. Jego otwór znajduje się w jaworznickim kamieniołomie, kilkanaście metrów od otworu Chelosiowej Jamy. Po rozebraniu niebezpiecznego zawałiska pod jedną ze ścian eksploratorzy przedostali się do wnętrza nowej jaskini. Długość Jaskini Pajęczej, bo taką nazwę otrzymała, pod koniec roku szacowano na ok. 700 m. Genetycznie jest ona częścią Chelosiowej Jamy. Niewielka odległość, jaka dzieli obecnie obie jaskinie, pozwala przypuszczać, że już niedługo system będzie miał ok. 4300 m. Należy przypomnieć, że nowa jaskinia, tak jak pozostałe obiekty w Kopaczowej Górze, znajduje się w obrębie rezerwatu przyrody nieożywionej „Chelosiowa Jama”.

Autorami „nowości” z terenu Jury są grotołazi ze Śląska (Adam Polonius i Jerzy Sławiński). Prowadząc prace inwentaryzacyjne w okolicach Huciska Ryczówczańskiego na Wyżynie Częstochowskiej w jednym ze schronisk skalnych odkryli nową jaskinię z interesującą szatą naciekową. Otrzymała ona oryginalną nazwę Ciesień. Po wstępnej penetracji jej długość szacowano na ok. 300 m. W czasie prac w okolicy ustalono również, że Schronisko w Hucisku koło Ryczówka to jaskinia o długości ok. 50 m (Jaskinia w Hucisku koło Ryczówka).

Nowego interesującego odkrycia dokonali także członkowie Jurajskiego Klubu Jaskiniowego: Paweł Ostrowski i Mirosław Wiśniewski w jaskini Pod Bukami II. Po pokonaniu zawałiska w jednym z korytarzy weszli do nowych partii tej jaskini. Stanowi je 134-metrowy ciąg korytarzy z bogatą szatą naciekową. Po tych odkryciach długość jaskini wzrosła do 179 m.



Zjazd w jaskini Martahöhle, Ost Göll '97. (Na zdjęciu Dariusz Bartoszewski)

Fot. Joanna Rewkowska

Z końcem roku dokonano również podsumowania prac inwentaryzacyjnych prowadzonych w polskich Karpatach fliszowych. Jaskinie tam występujące zaliczane są do form pseudokrasowych, a swoje powstanie zawdzięczają głównie ruchom masowym skał budujących stoki i grzbiety górskie. Na tym terenie opisano 446 jaskiń i schronisk skalnych. Największa ich liczba znajduje się w Beskidzie Śląskim (119 obiektów) i Beskidzie Niskim (115 obiektów). W większości są to obiekty niewielkie, chociaż najdłuższa z nich, Jaskinia w Trzech Kopcach (Beskid Śląski), liczy 908 m, a innych 12 przekroczyło 100 m długości. Obecną wiedzę o tych obiektach zawdzięczamy przede wszystkim członkom Speleoklubu Bielsko-Biała oraz Speleoklubu Dębica.

Wypadki

Na koniec nie sposób nie wspomnieć o czarnych stronach działalności jaskiniowej w 1997 roku. W trakcie dwu wyżej opisywanych wypraw zagranicznych zdarzyły się wypadki, które tylko dzięki dziwnym, acz szczęśliwym splotom przypadków, nie zakończyły się tragicznie. Mniej szczęścia miał nasz słowacki kolega, który poniósł śmierć w czasie akcji w tatrzańskiej Wielkiej Śnieżnej. We wszystkich przypadkach złamane zostały elementarne zasady bezpieczeństwa i trudno wyrokować, czy winę za to należy przypisać systemowi szkolenia, złemu doborowi kadry na wyjazdy zagraniczne w kras alpejski, czy też nonszalancji w działaniu, jaka pojawia się po latach bezwypadkowych. Niech te wydarzenia będą przestrożą na przyszłość.

*) górna część systemu Lamprechtsofen (red.)

Kilka drobiazgów i MONT BLANC

Piękno gór, swoboda wielkich przestrzeni i twarda radość wspinaczki pozostaną zimne, ubogie, jeżeli zespołu linowego nie łączy przyjaźń. Braterska przyjaźń zrodzona z podziwu i przywiązania, ze wspólnie prowadzonej walki i dzielonych razem radości.

(G. Rebuffat)

Kiedys...

Na samym początku Doliny Kościeliskiej jest otwór w skale. Zapytałam niegdyś Krzysia: – Ile to ma metrów? – Siedem – odpowiedział z poważną miną. Porzuciłam plecak na drodze i pobiegłam w kierunku dziury. Miała nie więcej niż metr! Byłam wściekła, a on pękał ze śmiechu.

Krzyś zabrał mnie na Kominiarski Wierch. Wycieczka byłaby wspaniała, gdyby nie jeden drobiazg: nie wzięliśmy nic do picia, a dzień był wyjątkowo upalny. Zamiast obiecanych pięknych widoków cały czas miałam przed oczami wizję lodówki wypełnionej oszronionymi butelkami rozmaitych napojów. Wlokąc się smętnie z wysuszonym gardłem rozmyślałam, jakimi zakłęciami przemienić tę kuszącą fatamorganę w rzeczywistość. Poratowali nas w końcu jacyś sympatyczni, przypadkowo spotkani ludzie.

Słowacja, sierpień '86

Z moimi przyjaciółmi – Anią i Krzysiem – wybrałam się pewnego dnia na Łomnicę. Wycieczka jak wycieczka... ładne widoki, ale nic poza tym. Zejście też nie zapowiadało żadnych emocji. Sądziłyśmy, że skoro udało się wleźć bez problemu, to i drogę powrotną odbędziemy w ten sam sposób.

Nic bardziej mylnego – w czasie schodzenia ciągle coś się działo: najpierw poleciał na mnie duży kamień, który strąciła lina, potem zabrakło pół metra do stanowiska, nie licząc mniej istotnych „atrakcji”. Na dół dotarliśmy późną nocą.

Luty '87

Wstaliśmy o szóstej rano z zamiarem wejścia na Świnicę. Przez Kasprowy, Beskid i Liliowe doszliśmy na grań szczytową. Pierwszy raz w życiu miałam raki na nogach i do góry szło mi się całkiem, całkiem, za to zejście było straszne – o mało nie poleciałam, ale potem stwierdziłam, że ogólnie było fajnie.

Słowacja, sierpień '87

Od samego początku coś się nie zgadzało. Żleb, którym zamierzaliśmy wejść na Szatana, miał być szeroki i łatwy, a w rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. Koniec końców osiągnęliśmy jednak nasz cel. Kusiło mnie zejście do Popradzkiego Stawu, a właściwie wizja herbaty z rumem – specjalności znajdującego się tam schroniska. Zauważyłam szeroki, łatwy wyglądający żleb, zeszlismy więc na stronę Doliny Młynickiej. Żleb zwężał się, a następnie urwał podciętą ścianą.

– Cholera, znów się zapchaliśmy!

Wczesnym rankiem miałam dać odpowiedź Andrzejowi i Krzyskowi, czy zamierzam dalej z nimi wędrować. Odpowiedziałam – jasne, że tak, choć dokuczalo mi potłuczone wcześniej kolano. Miałabym zrezygnować ze wspaniałej wycieczki z powodu takiego głupstwa? Wykluczone!

Nie przypuszczałam, że wkrótce tego pożałuję.

Niespodziewanie nadciągnęły brzydkie, ciemne chmury, zrobiło się zimno i ponuro, a w powietrzu zawirowały pierwsze płatki śniegu. Były duże i przesłoniczne, lecz bardzo nietrwałe. Osiały na włosach, na ubraniu, aby po chwili zamienić się w kropelki wody. Wkrótce nasze dziurawe ortaliony i wełniane swetry zaczęły nasiąkać wilgocią, a na plecach poczuliśmy lodowate strugi. Śnieg sypał coraz gęściej, okrywał białą trawę i kamienie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że bez odpowiedniego ubrania i sprzętu nic nie zdziałamy w warunkach zimowych, więc nastroje były raczej ponure.

Do Tatrzańskiej Łomnicy ledwie się dowlokłam, przemoczona, zmarznięta, z obolałą nogą. Ciężki jak diabli plecak też nieźle dał w kość, moje plecy i ramiona zeszywniały z wysiłku. I to mają być wakacje? – myślałam ze złością. – W przyszłym roku żadnych gór – przestawiam się na żaglówki, windsurfing albo narty wodne. Jednak po kilku łyżkach gorącej zupy doszłam do wniosku, że chyba upadłam na głowę, skoro przypuszczam, że byłabym do tego zdolna.

Następnego dnia wstaliśmy nieco później niż należało, co niestety, miało stać się regułą. Pogoda była znośna, więc weszliśmy na Ganek i Rumanowy. Na obu szczytach znaleźliśmy puszki z wpisami tych, co byli tu wcześniej, lecz nikt z nas nie pomyślał o zabranii długopisu. Zauważyliśmy za to wpisy znajomych.

Kolejny nasz plan to wejście na słynną Galerię Gankową. Poszliśmy przez Zachodnie Żelazne Wrota do Doliny Kaczej, a następnie na Pustą Ławkę. Koledzy wyprzedzili mnie znacznie w drodze na przełęcz. Nagle zorientowałam się, że jestem sama. Poczułam niepokój. Co będzie, jeśli zabłądzę? Musiałam bardzo uważać, by nie zgubić niknącej perci. Niekiedy nie byłam pewna, czy dobrze idę. Starłam się zaufać swej intuicji wierząc, że wskaże właściwą drogę. Szło mi na ogół nieźle, lecz w końcu trafiłam na jedno takie głupie miejsce. Chwila stachu i... uff! Przeszłam. A gdyby nie...

Na przełęczu nie zastałam nikogo. Domyśliłam się, że panowie poszli na Galerię Gankową sami. Zrobiło mi się przykro. Wystarczyło przecież, żeby trochę poczekali. Szkoda.

* * *

Wybraliśmy się na Krywań stynący podobno z pięknych widoków. Szczyt spowijała niewielka chmurka, jedyna w promieniu kilku kilometrów. Nic nie było widać. Gdy zeszliliśmy niżej, chmura odplynęła. Chwila wahania: wracać, nie wracać... Machnęliśmy ręką. A niech tam!

Nadchodzący Nowy Rok uczciliśmy w kolebie w Dolince Buczynowej. Koło pierwszej ruszyliśmy w drogę powrotną. Noc była pogodna i jasna. Światło księżycy dostojnie królującego na wygwieźdzonym niebie spływało po ośnieżonych stokach, okrywając je delikatną, srebrną poświatą. Zaledwie kilka pierzastych obłoków zawisło w nieruchomym powietrzu. Żaden powiew nie mącił majestatycznej ciszy skutych lodem i przysypanych śniegiem gór. Nagle coś zakłóciło jednostajny rytm naszych kroków. Anka potknęła się i pojechała stromym stokiem w dół. Krzyś próbował ją zatrzymać, usłyszałam krzyk i już ich nie było. Na moment straciłam głowę. Co robić? Próbować zejść do nich, czy może lepiej zostać tutaj? Zanim podjęłam decyzję, zauważyłam poruszające się światełko, a potem z dołu rozległo się wołanie Krzyśka:

– K... schodź szybko!

Zaraz potem:

– K... schodź ostrożnie!

Zdezorientowana sprzecznością poleceń pomyślałam: Więc jak, k... ma być – „szybko” czy „ostrożnie”? Troska o przyjaciół mobilizowała do pośpiechu, lecz zdawałam sobie sprawę, że im nie pomogę, jeśli sama polecę. Pomalutku doszłam do Krzyśka. Był w lekkim szoku, takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Kazał mi wejść do potoku i wyciągnąć Anię, a zaraz potem iść po GOPR. Taszcząc ją w bezpieczne miejsce jeszcze miałam nadzieję, że nic jej nie jest i jakoś sami sobie poradzimy, bo – szczerze mówiąc – przerażała mnie perspektywa samotnej nocnej wędrówki. Nie znając dobrze doliny, nie wiedziałam nawet, w którym miejscu dokładnie jesteśmy. Niestety, z Anią było kiepsko: spadając bardzo się potłukła i prawdopodobnie złamała nogę. Chcąc nie chcąc upewniłam się w końcu co do właściwego kierunku i ruszyłam przed siebie. Czułam się nieswojo, lecz zdawałam sobie sprawę, że teraz wszystko zależy ode mnie. Cudem zdołałam nie zabłądzić. Zawiadomiłam GOPR o wypadku. Ratownicy wkrótce wyruszyli po nich, a mnie pozostały długie godziny oczekiwania sam na sam z milczącym radiem. Po czwartej rano któryś z goprowców przyprowadził Krzysia, a potem przyniesiono Ankę, która – jak się okazało – rzeczywiście miała złamaną nogę. Ratownik dyżurny oddał nam do dyspozycji „goprowkę”. Rankiem zjawił się Andrzej, bo usłyszał w Roztoce przez radio o akcji i domyślił się, że to po nas, więc przyszedł.

Wieczorem zeszliliśmy do Roztoki tak zmęczeni, że natychmiast powędrowaliśmy do łóżek, a Kochany Andrzej jak zwykle zajął się wszystkim. Wkrótce

zapadłam w drzemkę, jednak wciąż docierały do mnie przeróżne dźwięki. Słyszałam niesamowite historyjki o naszym wypadku opowiedane przez „schroniskowiczów”, lecz nie czyniłam sprostowań. A co tam!

Styczeń '88

Znowu jestem z Krzysiem i Andrzejem w Tatrach. Tym razem poszliśmy na Gąsienicową. Panowie „instruktorzy” stwierdzili, że muszą mnie nauczyć wbijania haków i kontrolowanych zjazdów po śniegu. Świetna zabawa.

Marzec '88

Przyjechaliśmy po raz kolejny do Zakopanego. Pogoda nie zachęcała do wspinaczki, więc postanowiliśmy odwiedzić kilka jaskiń. Na początek Zimna. Pod otworem śniadanko, a potem emocje związane z pokonywaniem Błotnego Progu i wędrówka wspaniałymi korytarzami aż do Syfonu Zwolińskiego, skąd nastąpił odwrót.

* * *

Znów zaspaliśmy. Wprawdzie jako jedyna z naszej trójki usłyszałam budzik, ale nie miałam ochoty opuszczać ciepłutkiego śpiwora, a potem jakoś niechcący oczy mi się zamknęły... No i stąd godzina spóźnienia już na starcie.

Pod otworem Jaskini Czarnej spotkaliśmy speleologów ze Śląska, którzy skończyli właśnie akcję. Po krótkiej rozmowie z nimi kolejno zjechaliśmy na dno czterdziestometrowej studni. Byłam zdumiona i oczarowana widokiem wspaniałych sal i korytarzy. Ależ to wszystko ogromne!

Dotarliśmy w okolice Komina Węgierskiego, co jak na tamte lata było dla nas nie byle jakim wyczynem, a w drodze powrotnej postanowiliśmy zajrzeć do partii Tehuby. Aby się tam dostać, trzeba pokonać kilkumetrowy próg, niezbyt trudny, lecz odrobinę nieprzyjemny... W drodze powrotnej lepiej założyć tam zjazd i tak też zrobiliśmy. Chciałam jechać pierwsza, lecz Andrzej stwierdził, że najpierw sam musi sprawdzić, czy wszystko gra. Poczulałam się nieco urażona. Kiedy on wreszcie zrozumie, że nie chcę być traktowana ulgowo i we wszystkim wyręczana? Czas jednak naglił, więc machnęłam ręką. Trudno, załatwię to kiedy indziej, bo jeśli teraz wdam się w sprzeczkę z tym upartym typem, utknijemy tu na sto lat, a on i tak w końcu postawi na swoim. Stałam więc z boku, patrząc,

jak Andrzej wkłada linę w ósemkę, przechyla się do tyłu...

Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy pętla, przez którą przełożona była lina, wyskoczyła z plakietki.

Krzyś pierwszy odzyskał zdolność logicznego myślenia. – Zostań tu – powiedział, a sam ostrożnie zszedł do Andrzeja, który był na szczęście przytomny i mógł się poruszać, choć nie uszło naszej uwadze, że każdy ruch sprawiał mu dotkliwy ból. Jak zwykle nadrabiał miną i pocieszał nas, że to nic poważnego. Z jaskini wyszedł o własnych siłach, jak się później okazało – z połamanymi żebrami.

To zdarzenie długo nie dawało mi spokoju. Wciąż myślałam o tym, że w górach tak wiele zależy od przypadku. Gdyby Andrzej był wtedy mniej stanowczy albo ja bardziej uparta, kto wie, jak by się to dla mnie skończyło...

Chamonix, sierpień '88

Patrzę na ośnieżone szczyty, skąpane w słonecznym blasku i myślę, że to chyba sen. Nie, naprawdę jestem w Alpach i jutro idę z Krzysiem na Mont Blanc.

Ranek zszedł nam na zwiedzaniu sklepów ze sprzętem. Po południu wjechaliśmy kolejką na Plan des Aiguilles, skąd niespiesznie ruszyliśmy w kierunku starej kolejki – ponurej ruiny rysującej się na tle lodowca Bossons, przez którą prowadziła nasza droga. Chociaż z bliska nie wyglądała tak strasznie jak z dołu, wciąż budził respekt. Uznaliśmy, że błądzenie w labiryncie szczelin po ciemku nie jest najlepszym pomysłem i lepiej będzie odłożyć to do jutra. Noc przeczekaliśmy pod osłoną betonowych ścian i stropów. Nie był to przyjemny biwak. Czułam się bardzo zmęczona, lecz nie mogłam zasnąć, przytłoczona specyficzną atmosferą tego miejsca, które za dnia swoją brzydota wprawia w nastrój przygnębienia, a po zapadnięciu zmierzchu staje się odpychające i wrogie.

Rano nie byłam w dobrej formie, a w miarę nabierania wysokości szybko opadałam z sił. Czynałam rozpaczliwe wysiłki, by nie zostawać w tyle. Krzyśkowi nic nie mówiłam, bo było mi po prostu głupio.

Następną noc spędziliśmy w schronie Vallota. Czułam się okropnie, ale nie dopuszczałam do siebie myśli, że zaszkoziła mi wysokość. Cholera, przecież to nie Himalaje! Tutaj, jeżeli boli głowa, to wyłącznie z niewyspania, a rzygać się chce wiadomo od czego – z brudu i smrodu panującego w tej blaszanej budzie, nie sprzątej chyba od stu lat.

Do rana moja chęć wejścia na Mont Blanc ulotniła się bez śladu. Kiedy nadeszła pora wymarszu, stwierdziłam, że mam to wszystko w nosie. Chcę spać, a reszta mnie nie obchodzi. Krzyś coś do mnie mówił, a ja życzyłam sobie jedynie, aby się odczepił, więc powiedziałam mu, że może iść sobie na szczyt sam, jeśli ma ochotę, i żeby się nie martwić, bo nic poważnego mi nie dolega. Jestem zmęczona i to wszystko. Naciągnęłam koc na głowę i próbowałam zasnąć. Wciąż uważałam, że potrzebuję tylko trochę odpoczynku, żeby dojść do siebie. Przynęłam na chwilę, ale niewiele to pomogło. Gdy wrócił Krzyś, byłam w równie fatalnej formie jak przedtem: wciąż bolała mnie głowa i nie mogłam pozbierać rozproszonych myśli. Jak przez mgłę docierały do mojej świadomości jego słowa, że powinnam jak najszybciej znaleźć się na dole. – Ciekawe, w jaki sposób? – pomyślałam. – Przecież jestem zupełnie do niczego. Nawet w pozycji horyzontalnej też mi pęka i wszystko wiruje, poza tym boli mnie noga (poprzedniego dnia skaleczyłam się rakiem). Nie ma mowy, na razie nigdzie się stąd nie ruszam. Może jutro...

A jednak zdołał jakoś postawić mnie na nogi i zmusić do wysiłku. Powlekliśmy się w kierunku schroniska Gouter. Z każdą godziną było ze mną coraz gorzej. Kręciło mi się w głowie, chwiałam się i zataczałam jak pijana. Chwilami wszystko robiło się czarne, nie wiadomo skąd nadciągała fala ciemności, dzwierząc w uszach jak szum odległych wodospadów. Wiedziałam, że muszę brnąć dalej. Tak jak poprzedniego dnia, mobilizowałam wszystkie swoje siły, koncentrowałam wolę, żeby nie ulec słabości. Krzyś pomagał mi, jak potrafił i powtarzał ciągle – weź się w garść. Próbowałam. Wciąż przychodziły mi na myśl nasze rozmowy o partnerswie w górach i moja stara śpiewka, że nie oczekuję żadnych przywilejów, nie chcę, by uważano mnie za słabszą i otaczano opieką jak dziecko. No i jak teraz wyglądam?

Od czasu do czasu spoglądałam ukradkiem na Krzysia, chcąc odgadnąć, czy bardzo jest na mnie zły. Wydawało mi się, że tak – czułam to jak chłodny powiew wiatru w upalny dzień. Powoli, lecz nieubłaganie rosła pomiędzy nami jakaś niewidzialna bariera. Na pocieszenie powtarzałam w duchu: – to tylko twoja wyobraźnia, wzmówiłaś sobie... Nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że moja intuicja nie kłamie. Dokuczalo mi to bardziej niż ból głowy i narastające wyczerpanie. I kiedy Krzyś po raz kolejny podnosił mnie ze śniegu, miałam ochotę wrzasnąć – zabierz te cholerne łapy! Obawiałam się, że jego troskliwość zerwie tamę rozżalenia i złości na siebie, na tę górę, na cały świat...

Chciałam zostać sama, nie miałam już siły walczyć z chorobą i łzami napływającymi do oczu. Dosty tego, już i tak wszystko popsułam, więc po co przedłużać tę udrękę?

Później wielokrotnie próbowałam postawić się na miejscu Krzyska i odgadnąć, co naprawdę wtedy o tym myślał. Czy zauważył od razu, że coś jest ze mną nie w porządku? A może sądził, że za bardzo się nad sobą roztkliwiam? Nigdy go o to nie zapytałam. Przez jakiś czas był to dla mnie drażliwy temat. Gdy już nabrałam odwagi, żeby o tym porozmawiać, dotarła do mnie tragiczna wiadomość, że Krzyś zginął na Matterhornie po przejściu północnej ściany...

Tymczasem do Tête Rousse dotarliśmy późną nocą. Kuchnia w schronisku była już zamknięta, ale udało się dostać coś ciepłego do jedzenia. Jeszcze raz uwierzyłam, że za parę godzin wstanę zdrowa i pełna energii, lecz rano nie byłam w stanie podnieść się z łóżka, więc Krzyś po rozmowie z „patronem” wezwał helikopter.

Nie wiedziałam, co się dokonało mnie dzieje aż do chwili, gdy zostałam wyprowadzona przed schronisko. Śmigłowiec właśnie lądował. Huraganowy podmuch unoszący chmury śnieżnego pyłu zmusił mnie do zamknięcia oczu. Kiedy znów je otworzyłam, byłam już w kabinie, a Krzyś siedział obok. Czułam, jak maszyna unosi się i zatacza kręgi w powietrzu. Pomyślałam – jaka szkoda, że nie mogę popatrzeć na szczyty z lotu ptaka, ale w sumie nie bardzo mnie to obeszło. Przecież nie żegnam ich na długo. Odpocznę parę dni, nabiorę sił i znowu gdzieś pójde, choćby na lodowiec Mer de Glace...

To zdarzenie całkowicie zmieniło dotychczasowe życie autorki. Choroba wysokościowa spowodowała w jej organizmie nieodwracalne zmiany, które na kilka lat wyłączyły ją z działalności górskiej, a także przekreśliły wiele życiowych planów. Mimo ograniczeń narzuconych przez chorobę Zofia nigdy nie zrezygnowała z gór i sportu. Dzięki żmudnym ćwiczeniom rehabilitacyjnym częściowo odzyskała sprawność: dziś wspina się w skałkach w Polsce i za granicą, uprawia turystykę górską, jeździ na rowerze, chodzi po jaskiniach, uczestniczy w spotkaniach klubowych.

Ost Göll '97

- nie dokończona wyprawa

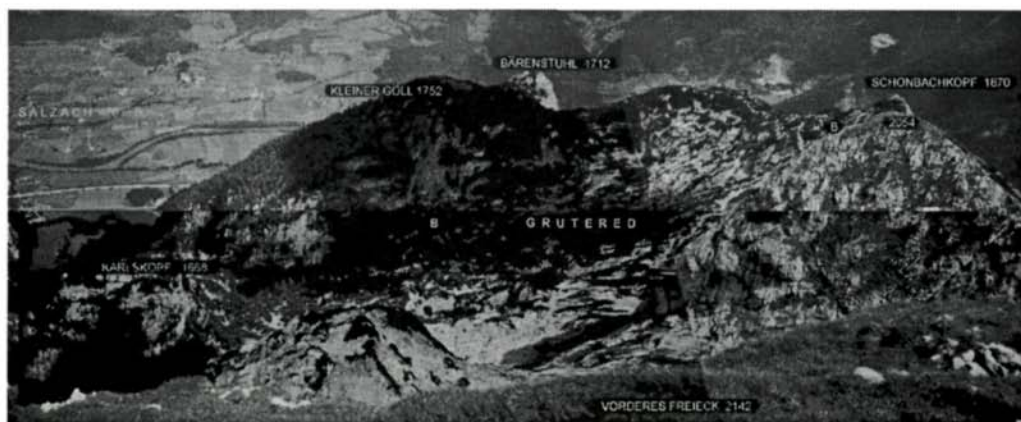
Głównym celem tegorocznej wyprawy SG Wrocław była kontynuacja eksploracji Studni Ogra (Ogrschacht, -613 m głębokości, długość 1455 + ok. 200 m) oraz próbną rozbudowę systemu poprzez przyłączenie Jaskini Księżycowej (Mondhöhle, -546 m) i połączenie ze Studnią Skrzata (Koboldschacht, -679 m) na poziomie piętra horyzontalnego 1200-1400 m n.p.m. Dodatkowym celem było szukanie i eksploracja nowych jaskiń, które w dalszej perspektywie mogłyby wypełnić lukę na drodze do wywierzyska pomiędzy Grutredhöhlensystem oraz Grubernhornhöhle czy Kammerchartenhöhle. Chcieliśmy również kontynuować eksplorację Słoniowego Labiryntu.

Już od samego początku nękały organizatorów wyprawy różne problemy. Powódź, która nawiedziła Wrocław, uwięziła w lokalu klubowym cały zdeponowany tam sprzęt wyprawowy. Niewiele zabrakło, by druga fala powodziowa, paraliżując niemal komunikację w południowo-zachodniej Polsce, uniemożliwiła wyjazd z kraju (część uczestników dotarła z trzydniowym opóźnieniem). Już na miejscu utrzymująca się wiele dni deszczowa pogoda przedłużała i tak już bardzo ciężkie transporty (ok. 1250 m deniwelacji). Największym jednak ciosem

była informacja od przypadkowo spotkanego na grani uczestnika wyprawy katowickiej – kolegi Zbigniewa Rysieckiego o cofnięciu zgody na działalność. Dziesiątego dnia po transportach, trzeciego dnia wymienionej pogody (utrzymującej się już w takim stanie do końca wyprawy), dowiedzieliśmy się o konieczności zaprzestania eksploracji i jak najszybszego opuszczenia górnej bazy! W dodatku uczestnicy biwaku, którzy tego samego feralnego dnia wyszli z Ogra, przynieśli informację o pokonaniu ciasnot Meandra do Skrzata i otwarciu drogi na wschód.

Już w czasie akcji retransportowej w Ogrze udało się małemu, dwuosobowemu zespołowi w ciągu zaledwie dwóch godzin przesunąć pródek o ok. 150 m na wschód (ok. 200 m nowego). Wielki korytarz o średnicy do 10 metrów doprowadził do olbrzymiej sali (ok. 40 m średnicy), gdzie z powodu braku sprzętu i czasu zaprzestano eksploracji. Mamy nadzieję, że otwarty problem z bardzo silnym przewiewem powietrza da w przyszłym roku możliwość szybkiego posuwania się w interesującym nas kierunku.

Niestety, negatywnie rozwiązany został problem połączenia Ogra z Jaskinią Księżycową, do której



Kocioł Grutered (B – baza, z lewej stara, z prawej nowa)

Fot. Dariusz Bartoszewski

według pomiarów brakuje zaledwie 20 metrów. Sama zaś Księżycowa okazała się ponownie niedostępna ze względu na bardzo silne zalodzenie otworu. Zadanie to zostało więc do zrealizowania przez kolejne wyprawy, ponieważ samo połączenie będzie cenne z uwagi na pogłębienie tak powstałego systemu o ponad 100 m i znaczne rozciągnięcie na zachód.

Kontynuowano również eksplorację Słoniowego Labiryntu (1640 m n.p.m., 69 m deniwelacji, 1040 m długości), jaskini w której dominują olbrzymie gangi piętra 1600 m n.p.m. Oferuje ona nadal możliwości eksploracji w kilku kierunkach.

Z nowo odkrytych otworów do końca wyeksplorowano Studnię Marty (-132,4 m, 224 m długości). O wiele ciekawsza jest położona kilkanaście metrów dalej Jaskinia Śnieżna (-116 m, 141 m), w której eksploracja nie została zakończona. Możliwe, że głębsze jej partie odprowadzają wodę z wielkiego pola śnieżnego zalegającego przez cały rok w małym, podwieszonym na wysokości 1900 m karze. Odkryto również szereg nowych otworów, które roszą spore nadzieje na przyszłość.

Kierownikiem tegorocznej wyprawy SG Wrocław był M. Wierzbowski, a uczestnikami: B. Bednarska, W. Bolek, M. Gignal, R. Mateja, J. Osiński, B. Sobieszkański, R. Woldan, A. Zaworonek (wszyscy z SG Wrocław) oraz D. Bartoszewski, K. Konefat, W. Piotrowicz, J. Rewkowska i A. Wolniewicz

(wszyscy z SKTJ Sopot). Na koniec chcieliśmy złożyć serdeczne podziękowania naszemu sponsorowi – panu Dubrawskiemu z *Carcade Leasing*.



Okolice punktu „-303” w Studni Ogrów. (Na zdjęciu Rafał Mateja)

Fot. Dariusz Bartoszewski

Elżbieta i Stanisław Durczokowie

Petit Dru – jesień '97

Z rejonu masywu Mont Blanc od kilku lat dochodzą meldunki o zdarzających się tu obrywach skalnych i lodowych. I tak na przykład rok 1996 przyniósł doniesienia o znacznym obrywie skalnym na zachodniej ścianie Aiguille de Blaitière, której drogi porównywalne są pod względem trudności z drogami na zachodniej ścianie Petit Dru oraz na wschodniej ścianie Mont Blanc (flanka Brenva).

W roku 1997 zanotowano całą serię takich przypadków. Podczas ogromnego obrywu na wschodnim ramieniu Mont Blanc, Pointe Moore, w styczniu tego roku, na leżący poniżej lodowiec Brenva runęło 20 tys. m³. Skutkiem tego było wytworzenie się fali powietrznej o wielkiej sile, która spowodowała śmierć kilku osób i straty w drzewostanie doliny Val Veni. Kilka dni później w rejonie

żebra Whympera na południowo-zachodniej flance Grandes Jorasses oderwał się ogromny serak oceaniany na 15 tys. m³ lodu, które kulałem Planpincieux spadły w dolinę Val Ferret. Prowadziła tędy droga (II) często przechodzona ze względu na bliskość schroniska Jorasses (2803 m). Latem kulałem Gervasutti (imię przypomina o włoskim alpinistcie, który zginął w tym rejonie; także schronisko) we wschodniej ścianie Mont Blanc du Tacul w dolinę Vallée Blanche zeszyły również znaczne masy lodu. Niedługo później zdarzył się skalny obryw na wierzchołku Aiguille Noire de Peuterey, znany ze swej strzelistej formy.

W tych przypadkach w mniejszym lub większym stopniu uszkodzone zostały pewne partie dróg wspinaczkowych i alpejskich przejść lodowcowych.

Jednak to, co zdarzyło się we wrześniu na owianej sławą zachodniej ścianie Petit Dru, wstrząsnęło światkiem alpinistycznym. Dwa potężne obrywy skalne w odstępie jedenastu dni zmieniły zupełnie konfigurację tej tysiącmetrowej ściany.

W nocy z 17 na 18 września 1997 oderwało się w rejonie Filaru Bonattiego na wysokości Flammes

de Pierre ponad 13 tys. m³ skały i z łoskotem runęło kulałem ku podstawie ściany.

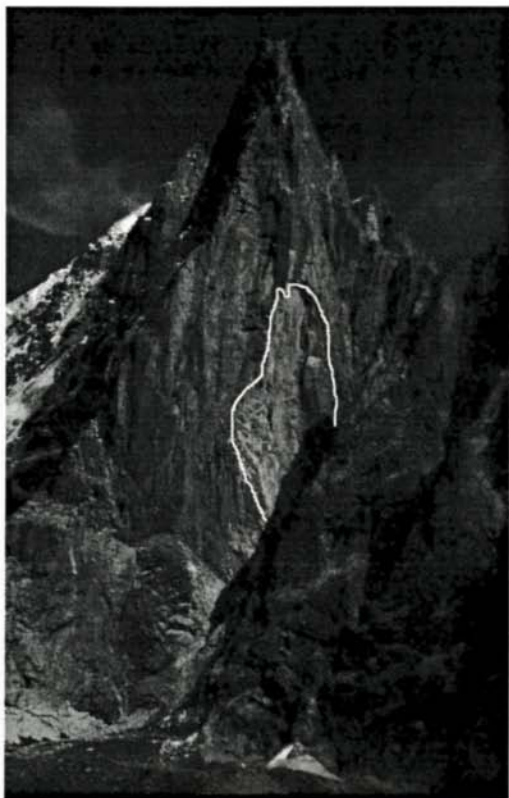
Kilka godzin przed obrywem zespół doświadczonych wspinaczy szwajcarskich znajdujący się na drodze Bonattiego zawezwał helikopter ratunkowy z Chamonix. Przyczyną przerwania wspinaczki nie były trudności drogi czy kontuzje, lecz niepokojące zjawiska, które zaobserwowała dwójka Szwajcarów. Schodzące lawinki kamienne i spadające większe głązy nie zdziwiły wspinaczy tak, jak wypadające ze szczelin skalnych przy dotknięciu haki od wielu lat służące z powodzeniem dziesiątkom zespołów. Miary dopełniła „ruchoma” płyta skalna ośmiometrowej wysokości, która na ich oczach oddzieliła się od podłoża, by po 20-centymetrowym odchyleniu powrócić na swoje miejsce.

W tym samym czasie na drodze amerykańskiej *directe americaine* leżącej bardziej na lewo (na północ) od *directissima* i Filaru Bonattiego wspiął się inny zespół dwójkowy. Można sobie wyobrazić relacje z przeżytego w ścianie Dru biwaku, kiedy następnego dnia alpinisci ci zostali zabrani na pokład śmigłowca patrolującego rejon obrywu.

Wywołany obsunięciem mas skalnych wstrząs o sile 2 stopni w skali Richtera zanotowały urządzenia stacji sejsmograficznej jeziora zaporowego Emosson położonego już po stronie szwajcarskiej.

Pewnie tylko dzięki zakazowi wspinaczki w grupie Aiguille des Drus wydanemu przez PGHM (*Pelleton de Gendarmerie de Haute Montagne*) nie doszło do górskiej tragedii podczas kolejnego obrywu, jaki nastąpił w nocy z 28 na 29 września '97. Ślad świeżego obrywu większy powierzchniowo od poprzedniego widoczny jest już z dużej odległości, ale dopiero z lodowca Mer de Glas lub wyżej położonego Montanvers można ocenić jego ogrom. Granitowa piramida Petit Dru z prawie 1000 m wysokości formacją zachodniej ściany ograniczoną północną flanką z lewej strony i Filarem Bonattiego po prawej od dawna fascynowała alpinistów. Kolejne pokolenia wspinaczy wytyczyły na niej szereg dróg, które na stałe weszły do historii podboju Alp. Ostatnie obsunięcia skalne zniszczyły większe partie *Filaru Bonattiego* i dróg *Destivelle*, *Soutien aux SDF* oraz *Voile Absolue*. W mniejszym stopniu dotknięty został obszar przebiegu *amerykańskiej directissima* i jej wariantu wytyczonego samotnym przejściem T. Grossa oraz *directissima francuskiej*.

Fachowcy nie wypowiedzieli się jeszcze na temat przyczyn obrywów na Petit Dru. Za jedną z bardziej prawdopodobnych uznaje się pośrednie wpływy anomalii klimatycznych, które tego roku wystąpiły w wielu rejonach kuli ziemskiej.



Obryw na zachodniej ścianie Petit Dru oznaczony białą linią

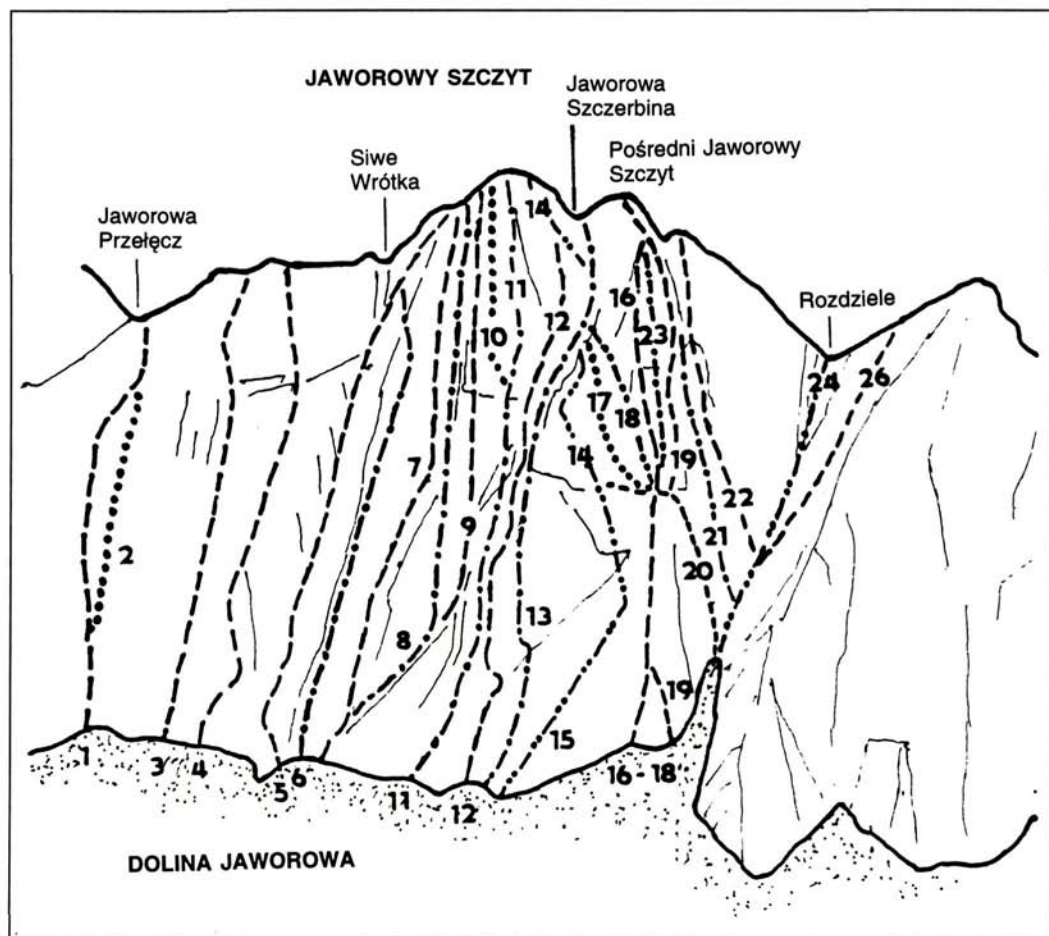
Jaworowy Mur od północy

Ożywienie działalności taternickiej, zwłaszcza zimowej, w latach siedemdziesiątych miało miejsce po obydwu stronach Tatr i zaowocowało zwiększeniem popularności Jaworowych Szczytów, co trwa do dzisiaj. Działalność taternicka, zwłaszcza zimą, przyniosła nowe możliwości w pokonywaniu dróg i wzbogaciła wspinaczkowe horyzonty.

Północne ściany Jaworowych Szczytów były zawsze w centrum zainteresowania, a zarazem

wymagały wielu umiejętności od taterników. Wspinanie się tam zimą było i jest „egzaminem maturalnym” taternika.

Mur Jaworowych Szczytów znajduje się w górnej części Doliny Jaworowej i rozpoczyna się od Jaworowej Przełęczy, która oddziela Mały Ostry Szczyt od grani Jaworowych Szczytów, kończących się (lub zaczynających) Skrajną Jaworową Przełęczą. Ściany opadające do Doliny Jaworowej mają wysokość od 350 do 400 metrów.



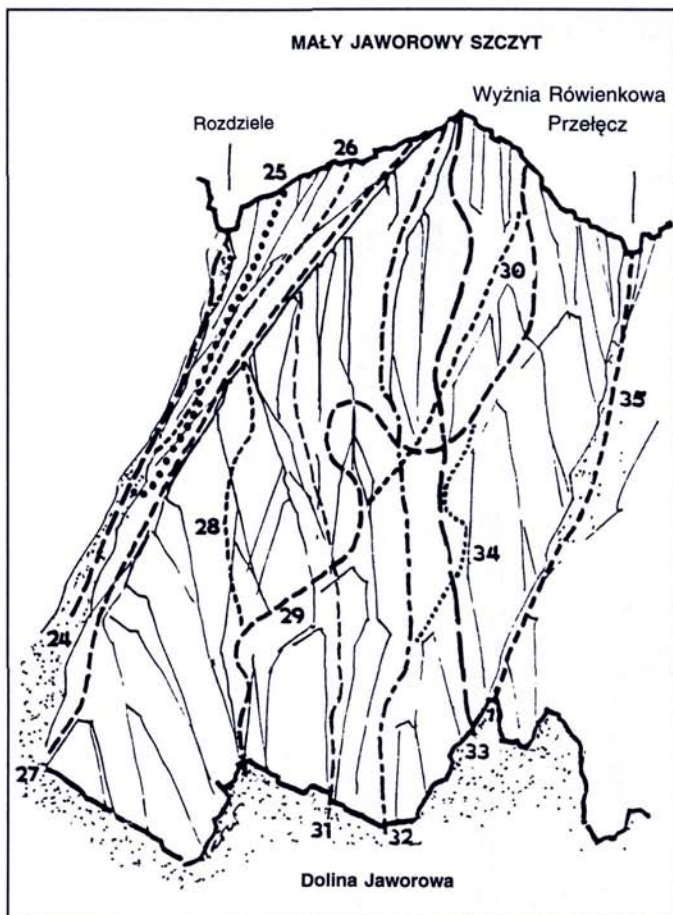
Przegląd dróg

Jaworowa Przełęcz

1. R. Śledziwski, J. Żukowski, 22.08.1955, VI, 6 godzin, zima: F. Skopik z kolegą 1963.
2. „Białe Zacięcie” J. Hons, J. Jón, 4.3.1974, V, A2, 9 godzin, zima: Beneš, Súlovsky, 28 i 30.12.1997.
3. „Czarna Głowa” J. Holy, L. Páleníček, 15.8.1970, V, 5 godzin, zima: H. Myslivcová, L. Páleníček, 20.3.1971.
4. B. Janečka, J. Škrabák, 28-29.1.1986, VI, A1, 60° – 80°.

Jaworowy Szczyt

5. „Filar Cermana” V. Mašková, K. Cerman, 1.8.1951, V, 4 godziny, zima: I. Bajo, Z. Kysilka, 8.4.1961.
6. „Środkiem lewego filara” Cz. Bajsarowicz, L. Górski, K. Wielicki, 4-6.2.1978, V, A1, 22 godziny.
7. „Czarny Filar” L. Páleníček, F. Pulpan, 5.8.1969, V+, 5 godzin, zima: Cz. Bajsarowicz, B. Nowaczyk, K. Wielicki, 23-24.2.1974. zima: Nosek, M. Šmid, 2,5 dnia, 2.1974. zima: Bednařík, Romanovsky, 4.3.1974.
8. „Babie Lato” M. Nosek, M. Šmid, 18.9.1974, V, A1, 5 godzin, zima: K. Španík, J. Martiš, 22-23.12.1977.
9. D. Miodowicz, J. Wolf, 21.4.1976, V+, A0, 12 godzin.
10. „Płytami” H. Myslivcová, T. Gross, M. Neumann, L. Páleníček, M. Šmid, 13.9.1969, V, 4 godziny.
11. „Droga Kuchařa” – środkiem ściany K. Cerman, O. Kopał, R. Kuchař, J. Mašek, 28.7.1952, VI, 5 godzin, zima: I. Bajo, J. Durana, 29-30.3.1963.



12. „Kominem Stanisławskiego” W. Stanisławski, J. Staszal, 7.7.1932, V, 5 godzin, zima: całą ścianą M. Groisová, M. Grois, J. Kertesz, M. Krkoška, 4.1962, wariantem obchodząc część z lewej - zachodem F. Nejedlo, J. Slama, 31.3.1953.

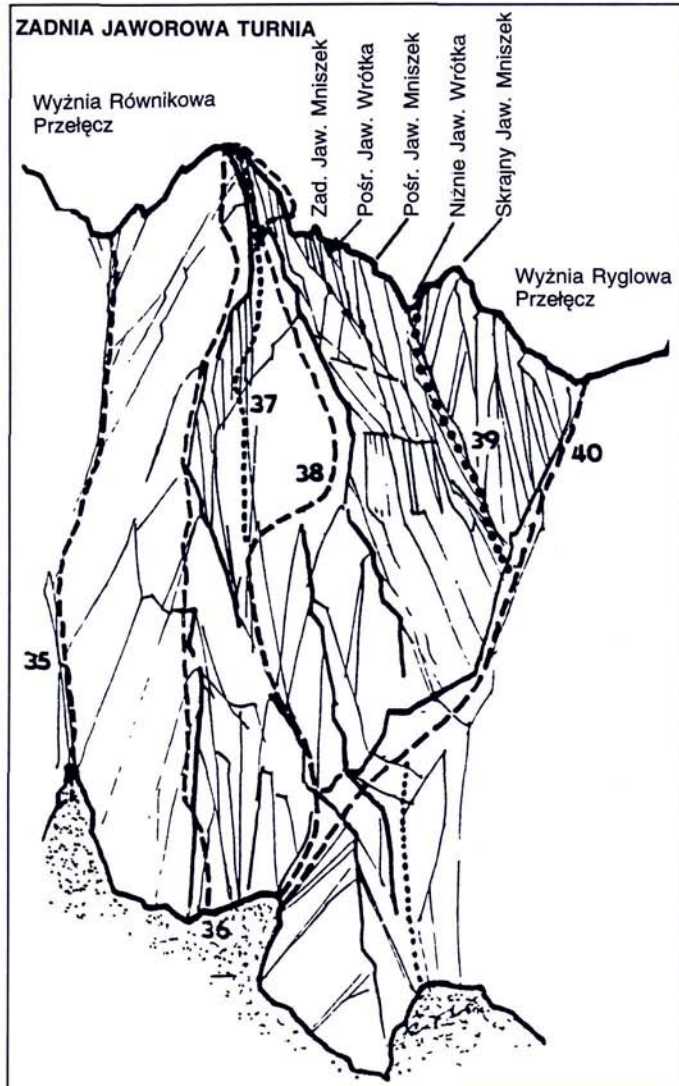
Jaworowa Szczerbina

13. „Żlebem Stanisławskiego” W. Stanisławski, P. Vogel, 16.8.1932, IV, 5 godzin, zima: J. Červinka, F. Pašta, 4-5.12.1954.

Pośredni Jaworowy Szczyt

14. „Filar Martina” G. Komarnicki, A. Martin, 30.8.1908, III, IV, 3 godziny, zima: Z. Korosadowicz, J. Staszal, 5-7.1.1933.

ZADNIA JAWOROWA TURNIA



15. „Dolny Wariant”
S. Bernadzikiewicz, Z. Gieysztor, S. Groński,
27.8.1929, II.
16. „Biały Wyłom”
J. Durana, P. Pochylý, 13-14.3.1964, V, A1, 15
godzin.
lato: Chyla, Vaško, Tkáčik, Schauhuber,
6.7.1972, 9 godzin.
17. W. Stanisławski, P. Vogel, 14.8.1932, kl. V,
5 godzin.
18. „Wariant Slamy”
J. Křístek, J. Slama, 27.7.1956, V, 5 godzin.
19. J. Ružička, O. Vitek, 17.8.1963, VI, A1, 10
godzin.
zima: J. Durana, P. Pochylý, I. Špitalský, Polák
11-12.3.1964.

- zima: Horka, Kadličik, Nežerka, Schier, 4-5.3.1974.
20. G. Komarnicki, A. Martin,
30.8.1908, IV, 3 godziny.
zima: Z. Korosadowicz, J. Staszal, 5-7.1.1933.
21. „Droga Kysilki”
Z. Kysilka z kolegą,
17.7.1963, V, A1, 5 godzin.
zima: M. Nosek, J. Saifert, 27-
28.12.1973.
22. „Czerwona Płyta” – ściana
prawej kulisy
J. Holy, L. Páleníček,
20.3.1972, V, A1, 8 godzin.
23. „Skrajem Płyt”
M. Šmid, L. Páleníček,
11.9.1975, V+.
zima: L. Kyrč, T. Jamirowski,
25.2.1985.
24. „Żlebem”
S. Wróbel, W. Żędzianowski,
1.9.1929, IV, 3 godziny.
zima: J. Andrąši, J. Brandobur,
K. Cerman, F. Kele mł.,
J. Mašek, K. Skřípský, B.
Svatoš, J. Velička.

Mały Jaworowy Szczyt

25. „Wariant prostujący drogi Komarnickiego”
L. Urbanec, R. Muller,
6.1.1980, IV-, śnieg 40°-80°.
26. G. Komarnicki, A. Martin,
30.8.1908, II-III, 2,5 godziny.
27. „Północno-Wschodnie Żebro”
J. Andrąši, K. Skřípský, L. Szabó, 2.8.1949, III,
2 godziny.
28. „Droga Stanisławskiego”
J. Gnojek, W. Stanisławski, 1.8.1930, V, 5 go-
dzin.
zima: J. Brandobur, K. Cerman, F. Kele, B.
Svatoš, 3.4.1953.
29. „Droga Komarnickich”
G. i R. Komarnicy, 13.8.1911, IV, 4 godziny.
zima: M. Bernadt, Z. Grabowski, M. Ziętkie-
wicz, 21-22.4.1961.
30. „Wariant w górnej części ściany”
A. Puškáš, 2.8.1949, IV.

31. K. Jakeš, J. Štelbaský, 5.2 i 12.3.1977, V, A1, 16 godzin.
32. „Droga Slamy” – środkiem ściany
Z. Mužák, J. Slama, 16.7.1951, kl. V, 5 godzin.
zima: J. Kertész, P. Plašil, 22.4.1962.
33. „Indiańskie Lato”
L. Páleníček, M. Smutný, 1.10.1971, V, 8 godzin.
zima: Z. Drlík, P. Mačák, 28-29.12.1973.
34. „Prawą częścią ściany”
W. Kogut, R. Lazarski, 10.8.1956, IV-V, 4,5 godziny.

Wyżnia Rówienkowa Przełęcz

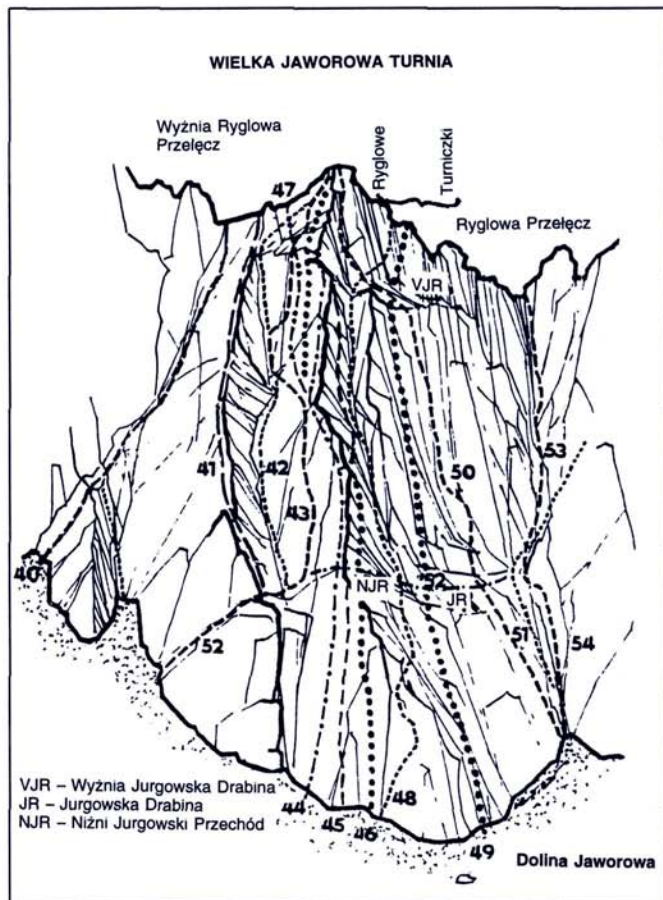
35. „Komin Klimka”
J. Hajdukiewicz, Z. Nessel-tuch, J. Sawicki, 17-18.7.1939, V, 6 godzin.
zima: J. Kertész, F. Skopik, 2-4.4.1962.

Zadnia Jaworowa Turnia

36. „Z wiarą” – lewy filar
H. Myslivcová, L. Páleníček, 17.6.1971, V-, 7 godzin.
zima: Novák, K. Šubert, Válka, 1-2.3.1975.
37. „Środkiem ściany”
J. Ružička, O. Vitek, lato 1963, VI, A1.
zima: T. Gross, L. Páleníček, 12-13.2.1971.
38. „Prawa część ściany”
M. Bała, Cz. Momatiuk, 23.8.1955, kl. IV-V, 4 godziny.
39. „Kominem”
A. Belica, L. Páleníček, 7.9.1975, V.

Wyżnia Ryglowa Przełęcz

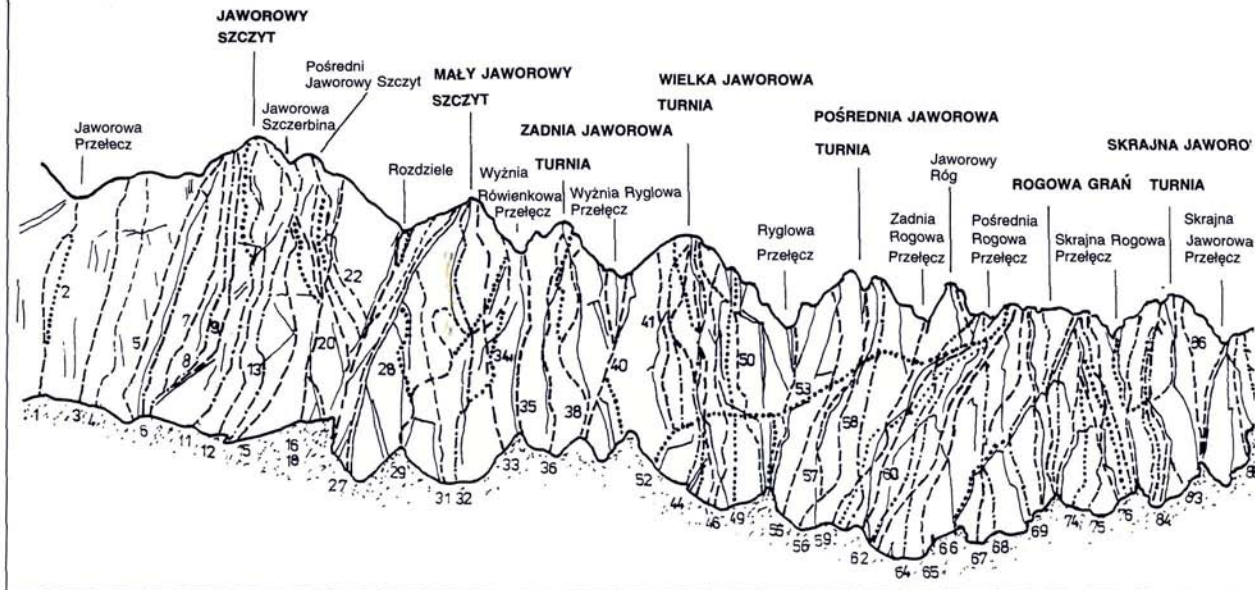
40. „Droga Szczepańskich”
J.K. Dorawski, J. Kiełpiński, A. i J.A. Szczepańscy, 11.7.1931, III-IV, 3 godziny.
zima: J. Mašek, K. Skřípský, 3.4.1953.



Wielka Jaworowa Turnia

41. „Lewym filarem”
M. Badziński, Z. Tracz, 21.8.1961, IV, 4 godziny.
zima: M. Grochowski, A. Skłodowski, 24-25.4.1972.
42. „Depresją”
F. Michl, L. Vodháněl, 7.1956, III, 3 godziny.
43. „Prawym filarem i depresją płn.-wsch. ściany”
J.K. Dorawski, A. i J.A. Szczepańscy, 7.8.1930, III, 3 godziny.
zima: J. Andrąši, J. Velička, 3.4.1953.
44. „Ostatnie Wyścigi”
L. Páleníček, J. Stejskal, V. Tatarka, 16-18.2. i 24-25.2.1975, V, A2.
lato: M. Šmid z kolegą 9.1976.
AF: F. Piaček, V. Valach, 27-28.1.1989, V+, VII-.
45. „Dziewiąta Fala”
M. i M. Coubalovy, 5-7.9.1987, VIII, 27 godzin.

46. „Diretissima”
S. Handl, A. Krčmářová, P. Koubek, J. Oisf, J. Švejda, J. Vestenický, Z. Zilvar, 11-13.3 i 17-19.3.1977, V+, A3e, 42 godziny.
47. „Wariant 33”
P. Koubek, J. Mach, 13.1-15.1.1977.
48. „Środkiem ściany”
J. Kurczab, R. Szafirski, 9-10.9.1965, VI, 10 godzin.
zima: A. Czok, K. Pankiewicz, 6-7.3.1974.
49. „Kaskady”
M. i M. Coubalovy, 23-24.8.1987, VII+, 19 godzin.
50. S. Biel, Z. Rubinowski, 20.8.1955, V, 6 godzin.
zima: K. Lipczyńska, H. Furmanik, A. Zyzak, 21-22.4.1964.
51. „Do kotła z prawej”
M. Bernardt, J. Chalecki, 18-19.4.1961, V.
52. „Jurgovska Drabina”
J. Fiet, J. Oszczapowicz, R. Redziejowski, S. Wroński, 28.8.1959, II, 3 godziny.



Ryglowa Przełęcz

53. „Góry Żleb”
M. Karpiński, J. Zarębski, 21.8.1955, kl. IV-V, 4 godziny (z kotła).
54. „Komin Wycofów”
P. Dieška, J. Hazucha, L. Páleníček, 19.3.1972, V-, 12 godzin.
zima: Horka, Kadlčík, 7-8.3.1974.
lato: M. Schauhuber, Tkáčik, 9.8.1972.

Uwaga: W.H. Paryski notuje bez szczegółów przejście szczytowym żlebem do przełęczą (21.08.1955, M. Karpiński, J. Zarębski. Dolna część Kominą Wycofów do kotła Jurgowskiej Drabiny jest częściowo zbiedzna z wariantem pierwszego przejścia zimowego północnej grani Pośredniej Jaworowej Turni, (M. Bernardt, J. Chalecki).

Pośrednia Jaworowa Turnia

55. „Lewą częścią ściany”
B. Mrozek, K. Jakeš, 14-16.1.1978, V, A1, 21 godzin.
56. „Depresja”
M. Badzyński, Z. Tracz, 22.8.1961, V-VI, 6 godzin.
zima: M. Bernardt, J. Chalecki, 17-18.4.1962, w wolnej części drogą 51 i 52.
57. „Pośrednim filarem”
P. Dieška, P. Malárik, R. Mock, lato 1966, V.

58. „Zieleń Łata” (prawy filar)
Z. Drlik, L. Páleníček, 21.6.1972, IV+, 7 godzin.
zima: Z. Karafa, P. Mačák, 2.2.1974.

Zadnia Rogowa Przełęcz

59. M. Stefański, A. Wilczkowski, 24.7.1955, V, 6 godzin.
zima: H. Furmanik, A. Popowicz, J. Rudnicki, A. Zyzak, 17.4.1962.

Jaworowy Róg

60. J. Hajdukiewicz, Z. Nesselhut, J. Sawicki, 12-14.7.1939, V, A1, 10 godzin.
zima: J. Rudnicki, A. Zyzak, 7-8.4.1965.
- 60a. „Wariant w górnej części drogi 60, wychodzący na Pośrednią Rogową Przełęcz”
J. Hajdukiewicz, Z. Nesselhut, J. Sawicki, 14.7.1939, II-III.
zima: I. Gálly, I. Urbanovič, 5.4.1963, w dolnej części drogą 59.

Rogowa Grań

61. „Via Calvados”
V. Osif, V. Urbanec, 21-22.1.1978, V-, A1.
62. „Czekający Komin”
J. Kuba, Š. Bednár, 27.1.1983, V+, A1, 50°-90°; 17 godzin.
63. „Lewy Filar”
R. Szafirski, A. Zyzak, 14-15.4.1966, V, 10 godzin.
64. „Komin”
J. i Š. Bednár, 16-17.1.1980, V A1, 50° - 60°, 22 godziny.
65. „Lewy Filar”
A. Belica, 25-26.2.1978, V, A1.
66. „Diagonala”
A. Belica, J. Serátor, 29.12.1979, V-, A1, lód 60°.
67. „Lewą częścią ściany”
A. Belica, 3.6.1977.
68. „Za Jaworowy Róg”
S. Horn, J. Špichal, 20-22.1.1978.
69. J. Honowski, A. Wilczkowski, 22.7.1955, V, 7 godzin.
zima: A. Ferancová, L. Páleníček, J. Stejskal, 28.9.3.1975.

70. „Droga Worwy” (pośredni filar)
J. Hajdukiewicz, J. Lechowski, L. Radoń, Worwa, 13.8.1955, V, 7 godzin.
71. „Prawą częścią ściany”
P. Geratel, V. Slimak, 17.8.1968, VI, A1, 5 dzin.
72. „Środkiem płyt”
D. Dinga, F. Hudek, 9.7.1983, V+, 7 godzin.
zima: V. Barčík, J. Hreus, 5.1.1990.
73. „Paszczka Tytana” (Wielki Komin)
P. Dieška, L. Páleníček, 12-13.1.1973, IV+, lód 80°.
74. A. i M. Packo, J. Duška, 19.3.1992, VI-, 8 dzin.
75. „Prawy filar”
J. Rudnicki, A. Zyzak, 16.4.1965, V, 5 godzin.
76. „Kominem”
J. Porvaznik, J. Stejskal, 18-19.1.1978.
77. „Płytami prawego filara”
A. Belica, I. Koller, 2-3.3.1978, V, A2, 21 godzin.
78. „Prawa strona prawego filara”
A. Belica, 1976, bez szczegółów.

**JAWOROWY
SZCZYT**

Pośredni
Jaworowy Szczyt

**MAŁY JAWOROWY
SZCZYT**

**WIELKA JAWOROWA
TURNIA**

POŚREDNIA JAWOROWA

SKRAJNA JAWOROWA

Jaworowa
Przełęcz

Jaworowa
Szczerbina

ZADNIA JAWOROWA

TURNIA

Jaworowy
Róg

ROGOWA GRAŃ TURNIA

Rozdziele

TURNIA

Wyżnia
Rówienkowa
Przełęcz

Wyżnia
Ryglowa
Przełęcz

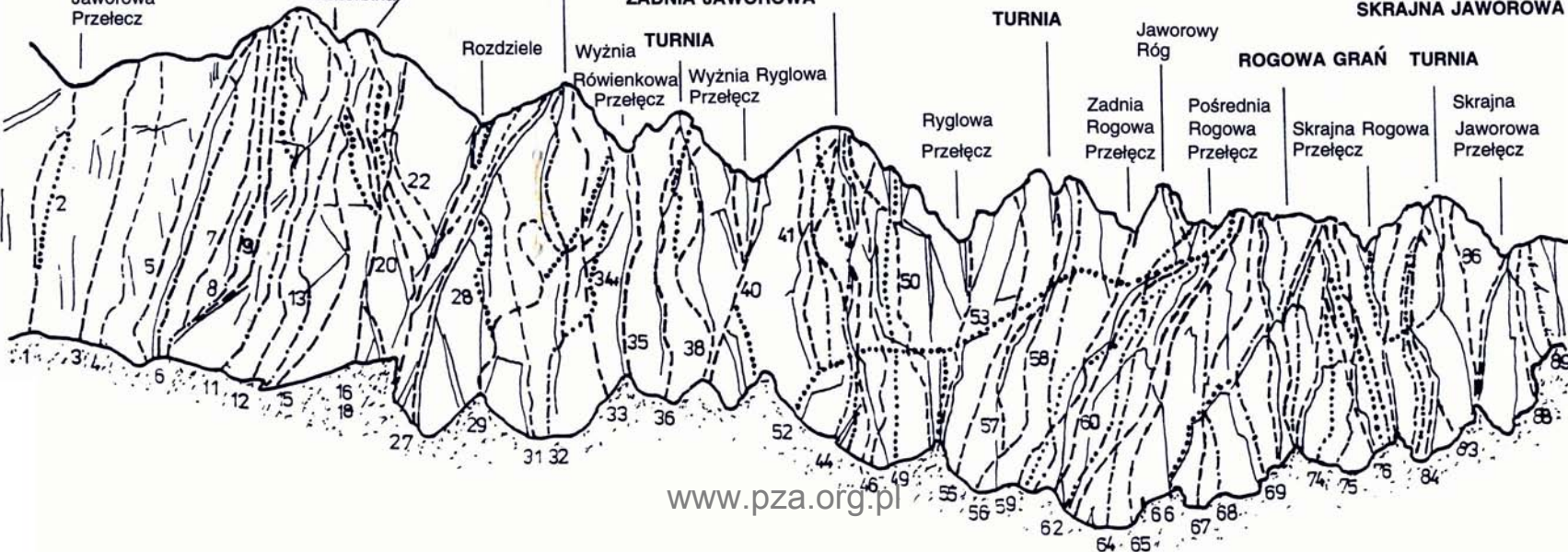
Ryglowa
Przełęcz

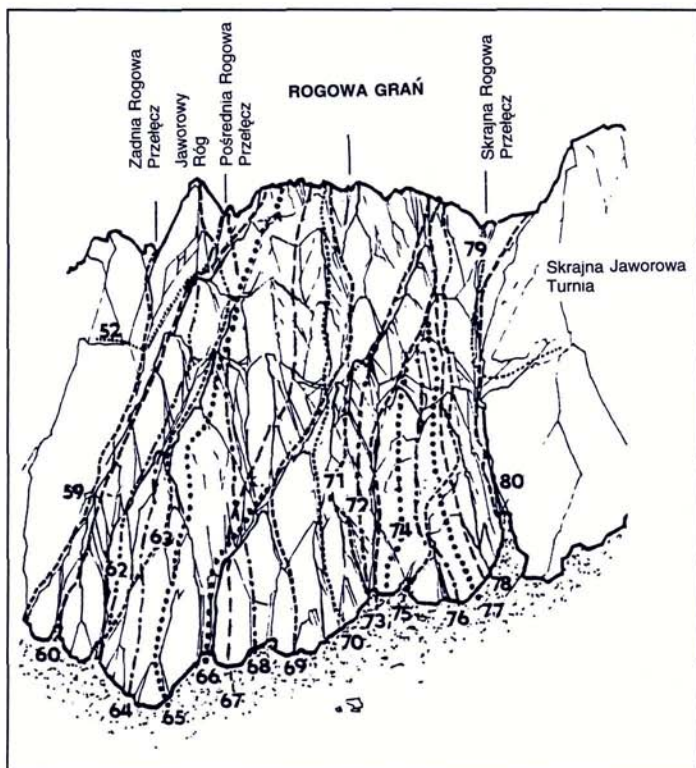
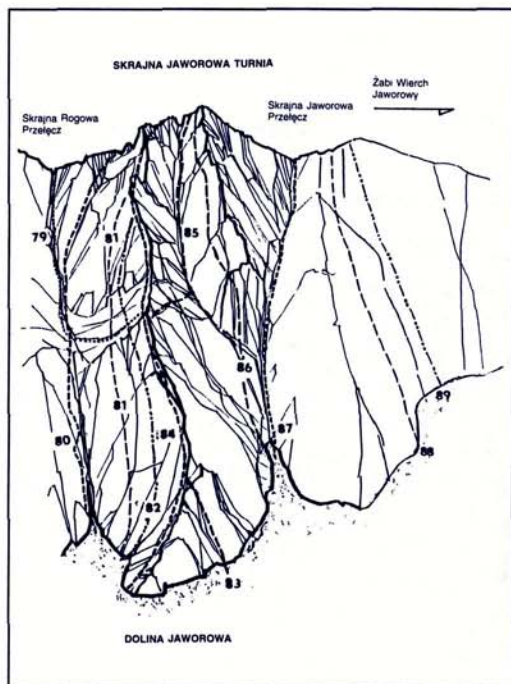
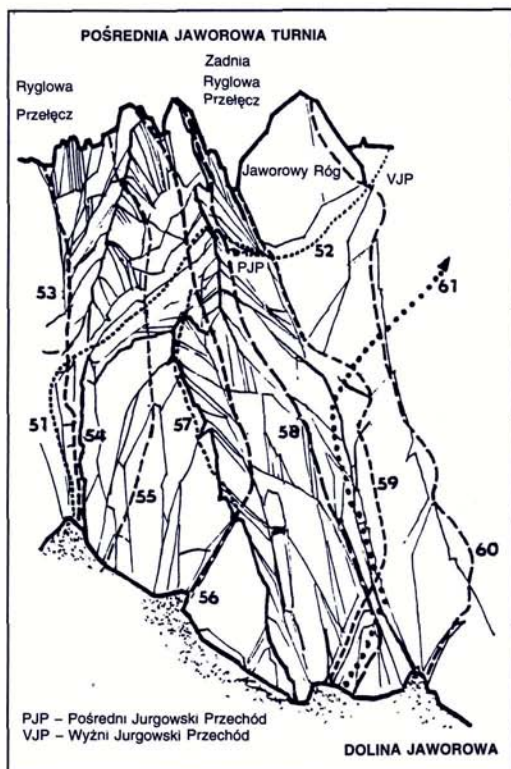
Zadnia
Rogowa
Przełęcz

Pośrednia
Rogowa
Przełęcz

Skrajna
Rogowa
Przełęcz

Skrajna
Jaworowa
Przełęcz





Skraina Rogowa Przełęcz

79. „Z lewego filara Skrajnej Jaworowej Turni”
W. Gruszczyński, J. Sawicki, 30.7.1936, IV, 4 godziny.
80. W. Kogut, R. Lazarski, 14.8.1956, IV, 2,5 godziny.
zima: M. Grochowski, T. Herbich, A. Skłodowski, 8.2.1976.

Skrajna Jaworowa Turnia

81. „Przez Galerię”
zima: D. Becik, P. Zelina, 9-11.2.1978, V, A1.
82. A. Myslovcowá, L. Páleníček, 7.8.1978, V–, 5 godzin.
84. „Lewym filarem ściany”
T. Bośniacki, J. Kiepiński, A. Szczepański, 28.8.1931, III, 5 godzin.
zima: W. Głogoczowski, A. Paulo, S. Worwa, 14.4.1966.
85. „Żleb Puškáša”
K. Hellerówna, J. Kováčik, M. Pully, A. Puškáš, 19.8.1955, V, 5 godzin.
zima: K. Pavlik, A. Puškáš, 22-23.3.1959.

86. „Prawy filar”
K. Jakeš, V. Tatarka, 23-24.2.1976, 15 godzin.
lato: J. Vestenický, B. Lastič, 1976.
87. „Kominem”
A. Dworak, M. Grochowski, W. Jedliński, J. Michalski, 23.3.1970, V, A0, 10 godzin.

Skrajna Jaworowa Przełęcz

88. B. Mrozek, K. Jakeš, 5.1.1980, IV+, A0, 70° do 85°.
89. W. Brichta, J. Ragas, 30.12.1983, VI–, 4 godziny.

Z księgarskiej półki

W ostatnich latach, jak z rogu obfitości, wysypały się wydawnictwa o tematyce tatrzańskiej. Ukazują się dwie serie szczegółowych przewodników taternickich. Władysław Cywiński omówił dotychczas w 5 tomach rejon Giewontu, Czerwone Wierchy i Tatry Bielskie (Wydawnictwo Górskie, Poronin), obecnie zaś kończy tom poświęcony gniazdu Młynarza. Cała seria zatytułowana jest „Tatry – przewodnik szczegółowy”, a wydane już poręczne książeczki formatu 12 × 16 cm noszą następujące tytuły 1. „Giewont” (1994); 2. „Czerwone Wierchy – część wschodnia” (1995); 3. „Czerwone Wierchy – część zachodnia” (1996); 4. „Tatry Bielskie – część zachodnia” (1997); 5. „Tatry Bielskie – część wschodnia” (1997). Podobne zadanie postawił sobie Jan Kielkowski, który szczegółowy przewodnik monograficzny „Tatry Wysokie” realizuje w porządku topograficznym. W tym roku ukazały się dwa pierwsze tomy: 1. „Masyw Świny”. 2. „Kościelec” (EXPLO 1997). Format tomów jest większy (14,5 × 20 cm), a wyposażenie rysunkowe równie bogate, jak u Cywińskiego. Na najbliższe miesiące planowany jest tom 3. – „Kozie Wierchy i Zamarła Turnia”. Józef Nyka opublikował osobny przewodnik turystyczny po Tatrach Słowackich (Wydawnictwo Trawers, Latchorzew 1997). Spod pióra spółki autorów: Marian Kunicki i Tadeusz Szczerba wyszedł monograficzny przewodnik „Polskie Tatry Zachodnie” (1996). Sam Szczerba dopełnił serię tomami „Słowackie Tatry Wysokie” i „Tatry Bielskie”, wszystkie ukazały się nakładem Wydawnictwa Ryszarda R. Remiszewskiego z Gliwic. Pod zmienionym tytułem (teraz „Tatry Polskie”) wznou-

wiono adresowany do młodzieży przewodnik Wojciecha Lewandowskiego i Mieczysława Pawłowicza (Pascal, 1997).

Tatrzański Park Narodowy w ramach swojej serii „Tatry i Podtatrze” wydał cenne, liczące niemal 800 stron dzieło monograficzne, zatytułowane „Przyroda Tatrzańskiego Parku Narodowego” (Kraków-Zakopane, 1996). Składają się na nie naukowe artykuły 45 autorów, redaktorem całości jest przyrodnik, wybitny znawca flory Tatr, doc. Zbigniew Mirek. Dzięki pracy redaktora, książka pomimo naukowego charakteru jest czytelna dla osób nie mających przygotowania przyrodniczego. Z pomocą finansową Ministra Kultury i Sztuki, nowe wydawnictwo „Krzeptowscy” wydało pierwszy tom serii „Podhalańskie osadnictwo rodowe”, zatytułowany „Genealogia rodu Gąsieniców w Zakopanem” (Maria i Józef Krzeptowscy Jasinek, 1997). Miesięcznik „Architektura-Murator” swój listopadowy numer w dużej części poświęca tematyce zakopiańskiej i tatrzańskiej. Hanna Faryna-Paszkievicz pisze o schroniskach górskich, Grzegorz Stiasny krytycznie omawia nowe trendy w budownictwie podtatrzańskim, Zenon A. Remi opowiada o swojej zaśluzonej rodzinie. Przemysław Szafer przedstawia Willę pod Jedlami. Budowla ta jest bohaterką osobnej obszernej i pięknie ilustrowanej monografii „Dom pod Jedlami i jego twórca” (Wydawnictwo Znak, 1997), zredagowanej przez Wiesława W. Wójcika. Wśród autorów tego dzieła zbiorowego są znani taternicy, Witold H. Paryski i Michał Jagiełło.

Monika Nyczanka

Pod koniec zeszłego roku wspinaliśmy się na Słowacji. Zdarzył się wypadek – zeszła lawina. Ten tekst opowiada o wydarzeniach tamtego dnia, aczkolwiek ujętych w sposób bardzo subiektywny. Wielu ludzi pytało mnie o doświadczenia związane z tym przeżyciem i wiem, że nie była to tylko pusta ciekawość i żądza sensacji. Po prostu, sami chodząc w góry, zastanawiali się pewnie nieraz czy i im może się to przytrafić i jak to jest, kiedy coś takiego się dzieje.

Jak to jest?

Żadnego uprzedzenia. Nie ma huku czy głuchych odgłosów – tylko szum, kiedy już cię ogarnia. Przyciskam się do skały – przesypane się, musi się przesypanie. Śnieg rozpryskując się nad skalnym prożkiem spada za mną grubą zastoną, ale na mnie przylutoną do ściany sypie się tylko trochę pyłu. Nagle – mocne szarpnięcie liną w dół; spadam poniżej auta. Przez bardzo długą sekundę hipnotycznie wpatruję się w hak – wytrzyma, musi wytrzymać?! Wypadł...

Pociąg. Pędzi, poniewiera mnie w dół stoku. Muszę wytrzymać, dam radę. Ból. Bezdech. To się nigdy nie skończy. Już nie mogę... Stop. W jednej chwili wszystko stoi.

Chyba żyję? Przynajmniej na razie. Jeszcze niczego nie jestem pewna. Wiem tylko, że się boję, boję się najmniejszego ruchu. Oddycha mi się źle, boli nienaturalnie wykręcona noga. Nie mogę się podnieść, ocieram tylko z twarzy obrzydliwie czerwony śnieg. Gdzie jest reszta?! Naprzeciw mnie powoli podnosi się Olek. Z trudem siada na stoku.

– Gdzie Marek?

– Jest, wygrzebuje się. O, k.... Ale do tej Kenii, to chyba nie pojedziemy.

No tak... chłopcy mieli jechać na wyprawę. To miał być trening przed wyjazdem...

Ze ściany słychać krzyki. To nasz drugi zespół – Adam i Sebastian. Ale jeśli oni nie spadli, to jakim cudem przy nas leży ich lina? Nic nie rozumiem, jednak, na szczęście, im samym nic się nie stało, chociaż utknęli w ścianie.

– OK! W porządku! – odkrzykuje im któryś z chłopców.

– Chyba mam złamaną nogę. – Staram się mówić spokojnym głosem, ale on dziwnie zaczyna się i drży. Czuję smak krwi: wargi, nos – wszystko spuchnięte. Prawie nic nie widzę na prawe oko. Chociaż zęby są wszystkie. Żeby tylko nie zemdleć, bo co będzie, jeśli zacznę się dusić?

Chłopcy próbują wypłatać się z liny. Marek ma iść po pomoc do schronu.

– Tylko proszę, szybko. – Jeszcze wierzę, że „szybko”, cokolwiek to znaczy, jest możliwe. Olka boli klatka piersiowa. Z góry znowu krzyczą, czy wszystko w porządku.

– A przyjdźcie tu sobie sami k.... sprawdzić, jak chcecie wiedzieć – denerwuje się Olek. Ani on, ani ja po prostu nie mamy siły im odkrzyknąć. I czemu, do cholery, tutaj leży ich lina?

Czekamy i czekamy. Schron jest niedaleko, ale ja nic nie widzę, ciągle więc nudzę Olka:

– Jest tam ktoś? Idą już?

– Nie, Olga, nie idą.

Jak to możliwe, że nikt nie zauważył? Przecież ścianę widać ze schroniska, a obok ludzie też się wspinają. I nikt, nic?

Jest zimno. Strasznie zimno. Enerceta nic nie pomaga. Najgorzej, że jak się trzęsę, to rusza mi się też dziwnie podwinęta noga. Jak tu powstrzymać te cholerne dreszcze? I ile jeszcze mamy tak czekać?

Olek milczy, bo boli go w piersiach, a ja teraz bardzo potrzebuję, żeby ktoś do mnie mówił.

– Widzę kogoś! Wchodzi do schroniska! To pewnie Marek! – Olek trochę się ożywia. Może coś w końcu się ruszy. Nareszcie!

Po jakimś czasie przychodzą ze schronu koledzy. Mówią, że ci z Horską też już wiedzą i mają niedługo być.

– Macie środki przeciwbólowe? – teraz głównie to mnie interesuje. Nie, nie mają. Jasny szlag! Na razie chłopcy wyciągają dodatkowe polary i herbatę, ale mi jest nadal zimno. Strasznie zimno. Olek decyduje się na zejście do schronu. Reszta zastanawia się nad sytuacją, a ta, cóż, nie jest zbyt wesoła. Ja nie mogę się ruszać, a nie ma gwarancji, że nam tu coś zaraz znowu nie wyjedzie.

I rzeczywiście – nagle wrzask:

– O k....! Lawina! Wszyscy pod skały!

Panika. Jeśli mnie jeszcze znieście, to już chyba po mnie. Poszło bokiem... Do nas dotarł tylko podmuch.

– Trzeba ją zwieźć niżej – dochodzą do wniosku chłopcy. – Można spróbować na karimacie, bo tutaj przecież nie można zostać.

No tak, spróbować można. Może chociaż zemdleję i przestanie tak boleć? Koledzy próbują ruszać moją zranioną nogę.

– Ouu! Neeee! – wrywa mi się, choć postanowiłam przecież wytrzymać. Mój wrzask zbija ich z tropu i puszczają. Dwie próby wyprostowania nie przynoszą rezultatu. Pomimo starań, po prostu nie mogę powstrzymać się od krzyku. Właśnie mamy ponownie próbować, kiedy ktoś dostrzega samochód Horskjej Służby i dochodzimy do wniosku, że może jednak lepiej zaczekać...

W tzw. międzyczasie moi tymczasowi ratownicy pomagają mi wyplątać się ze szpeju. Najgorzej z rękami, bo automaty się oczywiście pozacinały. W końcu jakoś poszło. Teraz uprząż.

– Dobra, tniemy. W ostatnim momencie olśnienie: – Czekać, przecież mamy radę ją rozpiąć. – No, uprząż ocalała.

Nareszcie dociera Horska.

– Macie coś przeciwbólowego?

Po trzech godzinach leżenia pod ścianą już nie wiem, czy bardziej mi zimno, czy bardziej mnie boli.

Chyba jednak bardziej mi zimno, bo ból jakby trochę stępsiał. Sytuacja jednak szybko się zmienia.

– Proszę leżeć spokojnie. – Ktoś mówi po słowacku. Co? A więc chcą nastawiać „na żywca”?

– Nie! ja nie chcę!!!

Nastawili... Jeszcze tylko łupki, nosze i ruszamy do schroniska. Uczucie strachu mnie nie opuszcza. Po drodze nosze przechylają się niebezpiecznie i mam nieodparte wrażenie, że zaraz wyląduję w stawie. Na szczęście moi ratownicy w porę orientują się w sytuacji i kąpiel zostaje mi oszczędzona. W tym momencie naszym lodem schodzi kolejna lawina. No, świetne miejsce sobie wybraliśmy. A zdawało się, że jeszcze powinno wytrzymać... Na razie Sebastian, z rozciętą ręką, dalej musi tam czekać uwięziony w ścianie; dobrze chociaż, że stanowisko ma w bezpiecznym miejscu. Czeka sam, bo Adam wycofał się jakoś naokoło i jest już na dole.

W końcu jest schron. Jest zastrzyk! Jeszcze mała sesja fotograficzna – pewnie do dokumentacji Horskjej Służby – i Słowacy pakują mnie do karetki. Powoli ustają dreszcze, tylko stopy w skorupach uparcie nie chcą się zagrzać. Ale i to już mi nie przeszkadza – chyba zaczynają w końcu działać środki przeciwbólowe. Powoli znika strach. Przenoszą mnie do helikoptera. Ucieka gdzieś rzeczywistość...

J.O.

„Alpy Bawarskie” przewodnik turystyczny

Autorzy: **Elżbieta i Stanisław Durczokowie**
Wyd. DUES, Cieszyn-Skoczów 1997, 290 str.,
format 14x20 cm, ISBN 83-908-109-0-5

Motto serii wydawniczej:

„Jesteś miłośnikiem Alp,
zostań ich znawcą”

Książka przeznaczona jest dla turysty, który chciałby poznać Górą Bawarię ze szczególnym uwzględnieniem jej części alpejskiej.

Autorzy dedykują ją również tym, dla których temat *Alpy* jest nowy i przekonują czytelnika, że radość obcowania z górami nie jest zarezerwowana jedynie dla typowych alpinistów – wspinaczy biorących udział w śmiałych wyprawach na najwyższe szczyty, lecz może być udziałem tych wszystkich, którzy są ciekawi świata, przyrody i innych społeczności.

Opis przebiegu *Deutsche Alpenstrasse* (Alpejskiej Drogi Krajobrazowej), wybór 78 szlaków górskich Alp Bawarskich (w tym również *Klettersteige*), wskazanie punktów widokowych znanych ze wspaniałych panoram uzupełnia ponad 40 mapek ilustrujących szczegółowo omawiany region Niemiec. Informacje praktyczne zawarte w aneksie i alpejski słowniczek niemiecko-polski będą niezbędne w trakcie wędrówek.

Natomiast wiadomości ogólne z zakresu geologii, klimatu, flory i fauny alpejskiej oraz zarys historii Bawarii mogą być przydatne nie tylko podczas podróży w Alpy Bawarskie.

Książka jest do nabycia w księgarniach lub u dystrybutora wyłącznego:

*Antykwariat „Filar” Henryka Rączki,
ul. Alabastrowa 98, 25-753 Kielce
tel. (0-41) 345 62 19, (090) 20 20 69*

Linia diretissimy

Raptawicka Turnia z daleka, od południowej strony, sprawia wrażenie kolorowej ilustracji z podręcznika geometrii – trójkątna ostra piramida, przecięta środkiem ciemną smugą – to będzie nasza droga.

Wchodzimy prawą ścianą grotki i w górę do szarego ścieku. Z bliska skała traci jednolity kolor, jest żółtawa, ze smugami ciemnych zacieków. W linii drogi kruszyzna, zamaskowana wierzchem cienkimi płatami szarego wapienia, i szybkość wypadania przelotów przekracza szybkość wspinania. Mamy towarzystwo. W pewnej odległości od ściany wyleguje się gromada jamników i każdy lot przyjmują radosną wrzawą. Niech się cieszą, przeloty niżej solidne i glebowanie nie grozi. Po kilku zmianach dochodzimy do miejsc, gdzie nie ma już nawet z czego latać, a skała dudni jak pęknięty garnek. – Może spróbować pójść w zygzak? – Ale to już nie będzie diretissima, tylko sinusoida i prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że skończy się lotem na cały wyciąg, z twardym lądowaniem.

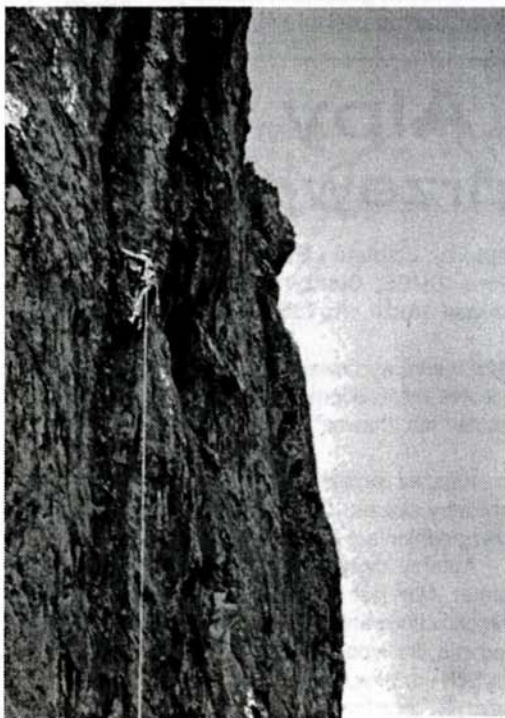
Jeszcze raz pod ścianą. Skała oczyszczona wcześniej lotami nie sprawia trudności. Wyżej, w coraz bardziej zwężającym się ścieku, raz na lewej, raz na prawej zyle liny, w co zdrowszej skale, kolejne nity. Mam nowe wiertło ze stali diamentowej NWV4, ale nity w skorodowaną skałę ścieku wchodzi zbyt luźno i trzeba je uszczelniać blachą tuby pasty do zębów – a kiedy się skończy – ślisz blachą z kremu do golenia – i prawie każdy nit, na którym się aktualnie wisi, od ciągłych wstrząsów, powoli wysuwa się z otworu. Co jakiś czas trzeba mu przyłożyć kilka razy młotkiem.

Praca na zmiany. I rośnie w górę jednostajny ciąg nitów, z oksydowanymi na czarno plakietkami. Kilka z nich osadza dwóch zaprzyjaźnionych jamników, Paszczak i Różyczka. Jeszcze parę godzin i stanowisko pod przewieszką. Koniec ścieku – klincał wbity po kolucho. Drugi dzień w ścianie kończymy nocnymi zjazdami.

Lina poręczowa kilka metrów od ściany, pruskuje się jak w jaskiniowej studni, tylko widno. – Co

jakaś ciekawsza droga, to zawsze przewieszona. Przenoszę z Demezonem stanowisko do zacięcia nad przewieszką i osadzamy haki startowe do następnego wyciągu. – Ściana wróciła już do pionu. Napręża się lina poręczowa – To Maciołek, pewnie nudzi mu się samemu pod ścianą. Jest już z nami i powoli rozwijamy się w linową gąsienicę, w linii zacięć i kominków przecinających górną część ściany.

Ktoś podchodzi zachodem, wyraźnie w złych zamiarach, bo coś wrzeszczy i wymachuje rękami. Maciołek przezornie podciąga linę do góry, tak żeby obcy przybysz nie miał się nawet na czym pohuścić. Obcy stoi i wrzeszczy dalej. Raptawicka Turnia zbiera cały szum z Potoku Kościeliskiego,



Na diretissimie Raptawickiej Turni



Od lewej: Sławomir Andrzejewski
i Leszek Nowiński

ale było chyba o tym, że schodząc ze szlaku ploszy się zwierzyne. Nawet z tej odległości widać, że przybysz jest wyraźnie niedopity, więc otrzymuje propozycję, żeby do nas przyszedł, to dostanie szampana. To go jeszcze bardziej rozwściecza. Podchodzi wyżej i ryczy, że jak mu natychmiast stamtąd nie zejdziemy, to będzie strzelał. To chyba któryś z filanców. Pewnie lubi strzelać. – I tak nie trafi, co najwyżej z rykoszetu. Filanc długo kibicował, chyba nawet zasnął, bo przez jakiś czas w ogóle się nie ruszał. Wreszcie zniknął.

Rąptawicka Turnia

„Widziałem kiedyś w mglistym smętku jesienno-popołudnia «symbol ściany niepokonanej» – płn.-wsch. zerwę Rąptawickiej Turni. Gdy przypominę sobie, czuję zawsze ostry żal, że ta ściana pozostanie na zawsze niczyją...”

Zdzisław Dąbrowski: T. 1936 s. 184

Słowa te należałoby przytoczyć wymieniając tych wszystkich, którzy ścianę tę przeszli, a w szczególności tych, którzy uczynili to jako pierwsi.

Pionierami w zdobyciu jej zasadniczego urwiska byli koledzy J. Kiełkowski i A. Skwirczyński, którzy poprowadzili drogę przełamaniem południowo-wschodniej ściany do kociołka, w dwudniowej wspinaczkę 6-7.08.1966 roku.

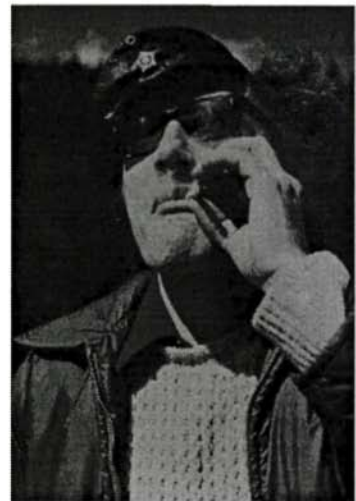
Następnie J. Piotrowski i B. Uchmański jako pierwsi przeszli ją w zimie w dniach 29.12.1967 do 1.01.1968 roku – szlakiem pierwszych zdobywców.

W dniach 20-22.07.1969 roku poprowadzili nową drogę, samym środkiem tej imponującej zerwy, koledzy Sławomir Andrzejewski, Maciej Lewicki i Leszek Nowiński. Direttissima stała się sławna między innymi z powodu użycia 25 nitów, co stało się nie pobitym do teraz rekordem Tatr Polskich.

Żadnych specjalnych atrakcji już więcej nie było. Jeszcze Demezon daje popis wspinaczkowej elegancji w kominku wyjściowym, przez co o mało nie runie z ruchomym blokiem i jesteśmy w stromym amfiteatrze okolonym postrzępioną granią. Rozkładamy się na jednym z trawników, otwieramy szampana i zadowoleni z siebie i reszty świata wznosimy toasty za zdrowie nasze i filanców. Będąc później w Zakopanem, wybrałem się do dyrekcji Parku z awanturą, że ich pracownikowi pomylił się sezon wspinaczkowy z sezonem polowań, ale nikt tam się nie chciał awanturować. Dyrektor Zambrzuski oświadcza, że nie ma nic przeciwko wspinaczom, niech sobie chodzą gdzie chcą, z wyjątkiem Wąwozu Kraków, gdzie mieszka para pomurników i jak będziemy je ploszyć, to nie będą miały potomstwa. – Lubię te sympatyczne ptaszki, nawet wtedy, kiedy udają spadające kamienie, więc zapewniam, że nikt ich tam nie będzie niepokoił, a jeden ze wspinaczy to ma nawet przydomek Pomurnik. Zambrzuski nie odmawia sobie przyjemności spytania, czy kolega Pomurnik też lubi latać. Zakaz Parku został przyjęty ze zrozumieniem wśród wspinaczy i przez kilka lat był z filancami spokój.

Jak wynika z wyszczególnienia uczestnikami przejścia byli: nieżyjący już Sławomir Andrzejewski, inaczej zwany Demezonem, i Maciej Lewicki – Macioszek. Droga ta była jednym z ich większych osiągnięć wspinaczkowych.

Andrzej Gierych



Maciej Lewicki

Zdjęcia pochodzą z archiwum Leszka Nowińskiego

WYPRAWA NA ZACHÓD



Autor w szpitalnym łóżku

Poniedziałek 24.11.

Leżę na łóżku z potłamanymi rękami (prawa jest trochę sprawniejsza), złamaną nogą i poobijanym ciałem. Każdy ruch sprawia mi dużą trudność, chociaż jest dużo lepiej niż dwa tygodnie temu.

Chciałbym napisać o tak wielu rzeczach, że nie wiem od czego zacząć. Myśli moje wciąż skaczą, odbijają się jedna od drugiej, wytracając swoją pierwotną energię gasną, by po chwili rozbłysnąć na nowo w zupełnie innym miejscu mojej głowy.

Piątek 7.11.

Godzina 14⁴⁵ – Cześć pracy, miłego weekendu. Wychodzę radosny z pracy, wszystko już jest załatwione i dopięte na ostatni guzik. Jadę do Arco. Samochód pożyczony z roboty stoi na parkingu, w środku niecierpliwie czeka na rozpakowanie plecaka i namiot. Wsiadam i ruszam. Czuję, jak razem z silnikiem samochodu coś gra mi we wnętrzościach. Jadę do Arco. Al. Zieleniecka – wsiada Kicia ze swoim plecakiem. Widzę, że jest tak samo podniecony, jak ja. Jedziemy do Arco. Szybkie powitanie: – Wsiadaj, musimy jak najszybciej wyjechać z tego cholernego miasta. Teraz pół godziny stania w korkach, ale o umówionej godzinie jesteśmy pod dworcem Ochota. Kicia idzie szukać Pawła, Łukasza i Moniki. Ja zostaję w samochodzie i delectuję się podnieceniem, jakie mnie ogarnęło. Jedziemy do Arco. – Cześć – wita się ze mną przybyła trójka. Szybko pakujemy plecaki do samochodu i ruszamy, znowu korek. W końcu udaje nam się wyrwać z kochanej stolicy. Jeszcze tylko zahaczmy o Łódź i jedziemy prosto do Arco. – Ale się wlecemy. – Kiepską drogę żeś wybrał. – Trzeba było jechać katowicką. Zaciskam zęby. Już nawet nie chce mi się z nimi dyskutować, korek pod Sochaczewem daje nam nieźle w kość.

Wjeżdżamy do Łodzi – nareszcie.

Okazuje się, że z Łodzi jadą tylko dwie osoby:

Szuflada i Adam. Nagle atmosfera staje się bardzo duszna. Pierwszy problem: – Którędy jedziemy? – Jak to którą? Na Wrocław. – Ale my chcemy się dostać na katowicką. – To ja nie jadę! Szuflada zbiera swoje graty i chce wysiadać. – Jacek, nie wygłupiaj się, pojedziemy przez Czechy i Wiedeń. Mamy już opłacone autostrady. Szuflada po krótkiej chwili siada na swoim miejscu, wtulony w kął i obrażony na cały świat. Sytuacja trochę niepewna, nikt z warszawiaków nie ma pojęcia, jak wyjechać z Łodzi. Po przestudiowaniu bardzo schematycznego planu miasta decyduję się ruszyć z myślą, że jakoś damy sobie radę „bez taski”. – Skręć w prawo. Nie wierzę własnym uszom, Szuflada zdecydował się jednak na współpracę, ale mimo to już do końca drogi nie będzie się zachowywał swobodnie, jak to miał w zwyczaju.

Czy ci ludzie nigdy nie śpią? Jest około 2 w nocy, jedziemy przez Wiedeń, na ulicach ruch jak w dzień. Łukasz zaczyna się trochę denerwować, bo nie jesteśmy pewni, czy dobrze jedziemy. – Cicho! Teraz już wiem, gdzie jesteśmy. Już nie zabłądzimy. Chwilę później mijamy nasz wjazd na autostradę. – Teraz już nie zabłądzę – słychać z tyłu ironiczny szept obrażonego członka naszej ekipy.

Świt zastaje nas już we Włoszech. Mimo zmęczenia i niewyspania głowy obracają nam się na wszystkie strony, dookoła TAAKIE skały. – To rzęchy – padło od strony bardziej światowych wspinaczy. Ale nas zachwycają te rzęchy wielkości Zamartej. „Stali bywalcy” Arco zaczynają się uśmiechać pod nosem. – Jak zobaczycie Colodri z bliska, to wam szczeny opadną. Jak na razie ta ostawiona ściana nie przedstawia się imponująco, zwłaszcza że w oddali rysują się dużo większe „górkę”.

Jesteśmy w Arco. Dojechalśmy na camping, pierwszy oczywiście okazał się za drogi, więc pojechalśmy na drugi trochę bardziej oddalony, ale dużo tańszy. Nagle pojawił się drugi problem: nasi

koledzy z Łodzi nie bardzo wiedzą czy nocować na campingu, czy w krzakach. Stoimy więc jak kółki i próbujemy przekonać naszych towarzyszy, aby przestali robić z siebie i z nas idiotów. Moje zdenerwowanie sięga zenitu. Po chwili Szuflada jest zdecydowany na nocowanie w ludzkich warunkach. Adam w dalszym ciągu przelicza liry na złotówki w różne strony i ile szpeju mógłby za to kupić. Na szczęście dochodzimy do porozumienia i z uśmiechem możemy podać paszporty recepcjoniście, który przyglądał nam się z rozbawieniem od początku naszej dyskusji.

Rozstawiamy nasze namioty, coś przekąszamy i... ruszamy toić – po to tu przejechaliliśmy. Nikomu nie przeszkadza to, że jesteśmy maksymalnie zmęczeni po prawie 20-godzinnej podróży.

– Gaje oliwne... – z rozmarzeniem odezwał się Paweł, gdy pięliśmy się samochodem ku najbliższej grupie skał. Prawie wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Jesteśmy już pod skałami: – To co? Na rozgrzewkę jakies 5c. Nikt nie protestuje, w końcu tylko dwójka spośród nas może coś powiedzieć na temat wspinania na „Łeście”. No i zaczęliśmy nasze „łojenie”. Po paru ruchach miny powoli nam rzedną. – K..., to wcale nie jest łatwe! Pojawia się coraz więcej komentarzy na temat tych, którzy wymyślili przelicznik pomiędzy skałą francuską a naszą – Kurtyki. Okazuje się, że nie jesteśmy w stanie zrobić więcej niż 6a. Nikt nie bierze pod uwagę naszego zmęczenia podróżą, braku oswojenia z nową skałą, każdy chce toić tak jak w Polsce, poza tym... „łestmeni” patrzą. Powoli napięcie dosięga szczytu i czara goryczy się przepęlnia. – Gdzie jest mój zegarek!? – Dlaczego się nie przyznałeś, że go wzięłeś?! – Jesteś zwykłym złodziejem! – Zaraz ci przy....! – Jak jesteś taki odważny, to mi przy....! – Nie boję się ciebie! – Jesteście złodziejami! – Uspokójcie się! – Od początku mnie wku...! – Zaraz mu do....! Słowa, których już nie można cofnąć wylatują z ust jak pociski z karabinu maszynowego, lecz godzą one nie tylko w tych, którzy strzelają do siebie. Nagle odechciało mi się wspinania i całego wyjazdu do Arco. A to dopiero pierwszy dzień. Niestety, podział już został dokonany, teraz są oni i my, a ja pośrodku jako łącznik pomiędzy dwoma wrogimi obozami. – Powiedz mu, żeby się odp.... – Jemu też powiedz, żeby się odp.... Co ja tu robię? Powspinaliśmy się jeszcze trochę, ale atmosfera zmieniła się, jakby ktoś puścił śmierzdzącego bąka, który nie chce odlecieć.

Wieczorem, to co wieczorem... wino, plany na następny dzień, dyskusje psychologiczne, a może bardziej psychiczne. Wszystko powoli rozmywa się w bełkot i radosną nieświadomość.

Niedziela 9.11.

Leje od rana. Myśleliśmy, że się zanudzimy, ale nic z tego, trzeba ratować się przed powodzią. Niektórzy przestawiają namioty, inni zabawiają się pracami melioracyjnymi. Udało się i widmo odpłynięcia zostało odsunięte. Coś jednak musimy ze sobą zrobić. Jest niedziela, wszystko pozamykane, nawet nie ma gdzie kupić wina. Kicia decyduje się na Boulder-room. Łodzianie udają się na wycieczkę pod Colodri, pozostała czwórka wyrusza na wycieczkę samochodem do Torbole w poszukiwaniu jakiegoś otwartego sklepu. Objeżdżamy Lago di Garda prawie dookoła. Łukasz pokazuje nam drogi wspinaczkowe, startujące prosto z wody. Zatrzymujemy się na dłużej pod drogą „Tony il telefonista” (czy jakoś tak). Pod ścianą kilka zdjęć w ramach i daty. Zakończyli tu życie ludzie w różnym wieku, młodzi i starsi, ale nas to jakoś nie dotyczy, my jesteśmy wciąż silni i zdrowi, chociaż kto wie, jak długo. – A może by tak coś przeżywcować? – rzucam do Pawła i zaczynam się przymierzając wśród strug deszczu do jakiejś 50-metrowej rysy. – Nie wygłupiaj się. Przypominam sobie zdjęcia pod skałą, to nie jest mądry pomysł i odchodzę od interesującej ryski. Wsiadamy do samochodu i wracamy do Arco, aby spędzić wieczór w jakiejś knajpcie. Zamawiamy z Pawłem lody i piwo. Łukasz z Moniką poszli na pizzę, ale po chwili dołączyli do nas, zamówili lody i nie wiem czy na skutek pomyłek językowych, czy też było to zamierzone Łukasz zamówił po pół litra wina białego i czerwonego – zaczyna się niezłe. Po jakimś czasie rozweseleni opuściliśmy lokal i udaliśmy się do naszego miejsca pobytu.

– Mówię wam, ale ekstra bulderownia. Kicia zafascynowany opowiada nam o swoich przeżyciach w „boulder-room”. – Ale palce to masz jak „jumbojety” – wesole stwierdził Paweł. – To nic, ale jakie „dupy” tam się wspiwały. Ja sam, a ich osiem. – Nie przyniosłeś stamtąd żadnych chwytów? – No co ty? Żartowaliśmy sobie tak przez chwilę, ale odezwał się zew natury. Godzina była wczesna, a my byliśmy bez żadnego zaplecza alkoholowego. Kicia zadeklarował się, że coś załatwi i pomknał w stronę recepcji. Nie mieliśmy nawet czasu na rozpoczęcie jakiejś „poważnej” dysputy, gdy pojawił się uśmiechnięty Kicia z naręczem butelek. – Więcej nie dałem rady przynieść. Rozpoczęliśmy uspokajanie naszych starganych przez życie i otaczający nas świat nerwów. Prawie cały wieczór spędziliśmy na przekonywaniu Łukasza o słuszności naszych jutrzejszych planów. – Przejechaliliśmy tu aby powspinać się na jakiejś fajnej ścianie, kilka wyciągów, przygoda, te sprawy. Ostatecznie Łukasz dał się przekonać i zdecydował, że jutro zaatakujemy

Colodri. Nie byliśmy pewni, czy nasze umiejętności są wystarczające na pokonanie tej ściany, w końcu zgodziliśmy się.

Poniedziałek 10.11.97.

– Pobudka, 10.00. Jakiś niezidentyfikowany głos dociera pod moją czaszkę. No tak, deszcz nie pada, trzeba iść się wspinać. – Kicia, wstawaj. Powoli wypętlam z namiotu, rzeczywiście pogoda zapowiada się pięknie. Wyszedłem z namiotu, rzut oka na baterię butelek i już wiem dlaczego pozostali członkowie ekipy w dalszym ciągu zalegają w śpiworach. Łodzianie, którzy nie uczestniczyli w „nocnych Polaków rozmowach”, poruszają się sprawnie i szybko, już są po śniadaniu i w trakcie szpejenia. Przez chwilę patrzę na nich i nie bardzo wiem, co robią. Dopiero później uświadamiam sobie, że z campingu pod ścianę jest 5 minut drogi, wszyscy, którzy idą wspinać się na Colodri, szpeją się w obozie i wyruszają na lekko – Cześć, już idziecie? – Tak, nie ma co zwlekać. – Co chcecie zrobić? – Somadossi. Zmartwiłem się, bo to był plan Łukasza i mój, a przecież nie będziemy się pakować dwoma zespołami na tę samą drogę. Trudno, Łukasz wymyślił coś innego. – No, wstawajcie, musimy się pospieszyć. Poganiam wciąż pozostającą w namiotach kompanię.

Stoimy z Łukaszem i Moniką na jezdni przed campinglem i czekamy na Kicię i Pawła. Czas czekania dłuży nam się niemiłosiernie i niewspółmiernie do czasu rzeczywistego. Dodatkowo denerwującym faktem jest to, że łodzianie już łoją, a my stoimy w pełnym rynsztunku i patrzymy się na piękną ścianę Colodrii. Ciągłe tylko patrzymy, zamiast już tam być i naciągać swoje mięśnie oraz ścięgna do granic ludzkich możliwości. Nareszcie nadchodzą. – Może wolniej, co? – Przecież wcale nam się nie spieszy. Mamy kupę czasu. – Co się wściekacie? Już jesteśmy. – Dobra, chodźmy. Ruszyliśmy spacerkiem po asfalcie pod ścianę. W pewnym momencie Łukasz zatrzymał się – Barbara zaczyna się tutaj, podejdziecie tą ścianką pod start drogi. Paweł i Kicia odłączyli się od nas i poszli zaferowani tym, co ich czeka. My ruszyliśmy dalej, po drodze minęliśmy stary kościółek z białą dzwonicą i pomnik ku czci poległych. Weszliśmy w jakieś zarośla. Nagle Łukasz stanął – To tutaj. – Gdzie? – zapytałem autentycznie zdziwiony, bo staliśmy pośrodku krzaczorów, ale przypatrując się uważnie zobaczyłem pomiędzy nimi bielejący wapień. – Pierwszy wyciąg ja poprowadzę, jest dosyć skomplikowany, łażenie po trawach itp. – Nie ma sprawy. Zgodziłem się szybko, nie miałem nawet pomysłu, jak można wystartować z tych chaszczki i gdzie iść. Łukasz związał się liną. – Możesz iść –

odezwałem się do niego. – Idę. I rzeczywiście poszedł. Wystartował i czepiając się traw podążył jakiś dziwnym trawersem. Po chwili zniknął mi z oczu i czekałem tylko na hasło, kiedy będę mógł iść w jego ślady. Pierwszy wyciąg to było rzeczywiście rżenie w trawach, drugi był trochę lepszy, ale prawdziwe wspinanie zaczynało się na trzecim wyciągu. Łukasz wspiął się swoim tempem, a ja z każdą minutą coraz bardziej odczuwałem pragnienie wywołane czy to dzisiejszym wysiłkiem, czy też wczorajszą zabawą. Patrzę do góry na partnera. Pojawia się na chwilę, by za moment zniknąć za jakimś załosem. – Mam auto!... – Możesz iść! Likwiduję swoje stanowisko i wyruszam w pogoń za Łukaszem. Staram się iść szybko, ale wspinaczka nie jest łatwa. Pokonuję jednak kolejny wyciąg i dochodzę do Łukasza, który wisi wpięty do stanowiska. Nie bardzo jest miejsce na to, aby zawisnąć obok niego. Ponad nami główny problem na drodze – kawał solidnej przewieszki.

– Ja poprowadzę – mówi Łukasz. Zgadza się (jaki ja jestem zgodny), mimo że teraz była moja kolej, ale wiem, że z Łukaszem nie należy dyskutować, a poza tym to on jest bardziej doświadczonym wspinaczem ode mnie.

– Idę. – Idź. Patrzę jak człowiek, który przed chwilą wisiał obok mnie rozpoczyna jakiś dziwny taniec, w którym każdy jego ruch przeczy powszechnie uznanym prawom ciężenia. W dole pod nami widzę miasteczko i basen. Jak ja bym chciał teraz zanurzyć się w chłodnej wodzie. Coś dziwnego zaczyna się dziać z wodą w basenie, zdaję sobie sprawę z tego, że dookoła nas pada deszcz, ale my jesteśmy bezpieczni, ponad nami rozciągają się przewieszki i okapy, nie spada na nas ani kropla deszczu. – Nie dam rady, „azeruję!” – słyszę z góry. Szkoda, że nie dał mi spróbować, tylko podjął od razu taką decyzję. No cóż, przynajmniej mogłem sobie pozwolić na komfort „azerowania” jako drugi i nikt nie miał mi tego za złe. Jeszcze jeden wyciąg, prowadzę go już bez ambicji sportowych i pozwałam sobie nawet na odpoczynek w przelocie. Dochodzę do drzewa, zakładam ostatnie stanowisko i ściągam linę. Łukasz dochodzi do mnie. Uścisk dłoni – Dzięki. Rozwiązujemy się. – Szkoda, że nie udało się tego zrobić czysto, może następnym razem. Schodzimy via ferratą do podstawy ściany. Na dole radość, Monika przyniosła butelkę... wody, opróżniamy prawie całą w tempie błyskawicznym, ja zapalam papierosa. – To co? Może jeszcze coś krótkiego na koniec?

– Nie ma sprawy, wypadłoby coś jeszcze zrobić. Odpoczywamy jeszcze trochę i ruszamy znowu do góry. Najpierw musimy podejść pod drogę, która startuje mniej więcej 100 metrów od podstawy

ściany. Startujemy via ferratą, ale po chwili postanawiam sobie trochę skrócić podejście i opuszczam via ferratę. Początek jest łatwy, niestety, nagle stwierdzam, że wszystko, czego usiłuję się chwycić, to ruszające się kamienie i kępy traw. Powoli tracę panowanie, co ja tu k... robię, widzę nad sobą trochę po prawej stronie Łukasza. – Łukasz, chyba się wpiere...! Łukasz odwraca się do mnie, ale chyba nie rozumiał. Chcę do niego krzyknąć głośniej, niech się cofnie i rzuci mi linę. Spostrzegam przed sobą stalową linkę, łapię ją i delikatnie obciążam, lekko szarpnię, trzyma. Zdaję

sobie sprawę z tego, że jest to resztką po naprawie via ferraty, prawdopodobnie nigdzie nie zamocowana, ale wbrew zdrowemu rozsądkowi podciągam się na niej. Wytrzymała. Za chwilą próbuję tej samej sztuczki jeszcze raz i... ze zdziwieniem widzę samego siebie, jak odrywam się od ściany i lecę plecami w czeluść. Nagle zamykają się nade mną gałęzie drzew. Znów widzę wszystko swoimi oczami. Po chwili czuję potworny ból, chyba spadłem, patrzę na swoją dziwnie zniekształconą rękę i na swoje ciało ułożone w dziwacznej pozycji. Krzyczę...

To opowiadanie chcę poświęcić pamięci Łukasza Wajsa. Odszedł od nas będąc w pełni sił, na DRODZE, którą uznał za wartą poświęcenia wszystkiego co posiadał i mógł posiadać. Odszedł bez pożegnania. Szczęśliwy i w przekonaniu, że wszystko układa się po Jego myśli. Łukasz Wajs zginął tam, gdzie prowadziły Go wszystkie ścieżki Jego życia... w górach.

Listy – Polemiki

Wstyd mi za Pana i Pańskich kolegów z redakcji „Taternika”. Złośliwy i prostacki paszkwil na Wielką Encyklopedię Tatrzańską, który przedrukowali Panowie z „Tygodnika Powszechnego”, nie powinien nigdy ukazać się w piśmie przeznaczonym dla znawców Tatr i redagowanym, zdawałoby się, przez jeszcze lepszych znawców Tatr.

Posądzenie autorów WET o niefachowość, stronniczość czy złą wolę jest bezpodstawna. Byli oni otwarci na uwagi i sugestie czytelników, na co mam dowód. W roku 1974, po pierwszym wydaniu encyklopedii, posłałem im listę uwag i poprawek, z których większość została uwzględniona w nowym wydaniu (dla odparcia ewentualnych złośliwych zarzutów stwierdzam, że nigdy nie byłem ani nie jestem osobistym znajomym pp. Paryskich, ani nie pracuję zawodowo w żadnej dziedzinie wiedzy związanej z Tatrami). Autor paszkwiłu też mógł przyłożyć rękę do pozytywnej współpracy, wolał jednak napisać swoje własne pasożytnicze mini-dzieło (ilustrowane jego zdjęciem. Jak w encyklopedii!).

Pp. Paryscy mieli odpowiednie przygotowanie i mieli też prawo, aby dokonać selekcji haseł, w tym także nazwisk. Autor paszkwiłu kwestionuje to prawo i kwestionuje też wyniki selekcji. On, pan G., zrobiłby to inaczej. Czekamy na rezultat jego pracy – będzie to pewnie Największa Istniejąca Encyklopedia Tatrzańska (NIET). Jeśli pan G. zabierze się za przygotowanie tego dzieła, to pewnie odkryje sam, że istotne jest nie tylko umieszczenie czyjeś nazwiska w encyklopedii. Ważniejsze jest, co

można przy tym nazwisku napisać. Encyklopedia nie jest zbiorem epitafiów; jej zadaniem jest poinformowanie czytelników o czymś, co ich zainteresuje albo wzbogaci duchowo. Fakt, że ktoś istniał, chodził w Tatry, przeszedł kilka nowych dróg, miał pseudonim, a jego życie towarzyskie i uczuciowe koncentrowało się w schronisku przy Morskim Oku, nie jest wystarczającym uzasadnieniem umieszczenia go w Encyklopedii Tatrzańskiej. Uzasadnieniem takim jest dopiero wpływ, jaki istnienie i działalność tej osoby wywarły lub mogły wywrzeć na życie i działalność innych ludzi. Przy podejmowaniu decyzji o umieszczeniu kogoś w encyklopedii lub pominięciu go, autorzy muszą odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: czy jest szansa, że posiadacz encyklopedii spotka to nazwisko w innym źródle drukowanym i będzie chciał zajrzeć do encyklopedii po dalsze informacje. Jeśli odpowiedź na to pytanie jest negatywna, nazwisko tej osoby należy pominąć. Stąd wynika przewaga w encyklopedii osób piszących (tych geologów, botaników i zoologów, którzy są solą w oku pana G.) nad aktywnymi w górach, ale znanymi tylko w wąskim kręgu towarzyskim wspinaczami. Poza tym, rzeczywista rola pewnych ludzi staje się widoczna dopiero po upływie pewnego czasu – i stąd mogą wynikać pomyłki w selekcji osób współcześnie żyjących. Zdanie pana G. w sprawie tej selekcji jest co najmniej równie dalekie od obiektywizmu, jak zdanie pp. Paryskich.

Podobnie można skomentować wybór i treść haseł nieosobowych. Zarzut, jakoby encyklopedia

pomijała milczeniem działania nielegalne i nieprawidłowości, jest po prostu nieprawdziwy (por. np. hasło „myślistwo”). Nie uwzględnia ich w takim zakresie, jakby chciał pan G. – ale przecież w innym miejscu pan G. krytykuje autorów za wypadki publicystyczne i moralizatorskie, niestosownie podobno w encyklopediach. Jak piętnować nieprawidłowości i równocześnie unikać publicystyki?

Żalotne jest wystawianie przez pana G. ocen i surowych opinii ludziom, którym do pięć nie dorósł i nigdy nie dorosnie. Rzeczą zaś prawdziwie haniebną i podłą jest wypominanie słabości człowiekowi, który załamał się w śledztwie prowadzonym przez SB. Do takich wyrzutów mieliby prawo tylko ci ludzie, którzy ponieśli osobiste konsekwencje tej słabości, oraz ci, którzy po bohaterzku przetrwali śledztwo i wyszli z niego czysti. Na pewno nie ma tego prawa ktoś, kto w PRL zadekował się tak skutecznie, że SB nigdy nie wykryła jego istnienia – a więc ani ja, ani pan G.

Całkowicie pomyślnym pomysłem jest domaganie się, aby encyklopedia rejestrowała wariackie, a nie zrealizowane projekty oraz ich autorów (jak Dzieślewski), lub też domniemane, ale nie udowodnione przestępstwa, jak rzekomo celowe palenie szafasów pasterskich. Autorzy encyklopedii nie uchylili się od rejestrowania nonsensów dokonanych i przestępstw udokumentowanych, czego dowodami są hasła „ceprostrada”, „Kasprowy Wierch” i „Łomnica”. Wśród możliwych haseł tej kategorii dokonali jednak selekcji, do której mieli prawo i która była konieczna – sam pan G. robi im przecież zarzut z wielkich rozmiarów dzieła.

Prostacka zajadłość, z jaką pan G. piętnuje rzeczywiste lub urojone potknięcia autorów, neguje ich wielką zasługę i kolosalną, wieloletnią pracę, której nikt inny nie potrafił i nie chciał wykonać, dyskwalifikują go jako recenzenta. Nie chcę domyślać się jego ukrytych motywów, na pewno nie chodziło tu o obronę żadnej dobrej sprawy. Nie rozumiem też zupełnie, jakie wartości mogła dostarczać w tym paszkwilu redakcja „Taternika”. Zawiodło Panów najwyraźniej wyczucie dobrej i złej roboty, niezbędne u redaktorów. W. Paryski był redaktorem naczelnym „Taternika” jeszcze zanim Panowie się urodzili (chyba słyszeli Panowie o tym fakcie?) i choćby z tego powodu zasługiwał na poważniejsze potraktowanie w tym czasopiśmie. Mogliby Panowie nauczyć się niejednego z tamtych starych numerów „Taternika”. Na przykład, pod redakcją W. Paryskiego nie zdarzały się błędy w pisowni obcojęzycznych słów i nazw, niezręczności stylistyczne, ani nie było na łamach „Taternika” miejsca na grafomańskie popisy autorów jednego dzieła. Naprawdę, wstydzę się za Was.

Andrzej Krasieński

W artykule kolegi Jana Gondowicza p.t. Tatry – kłątwa Wyspiańskiego (Taternik nr. 4, 1997) znalazła się drobna nieścisłość; otóż pierwsze-go przejścia ptn. ściany Żabiego Mnicha dokonałam z kol. Andrzejem Wilczkowskim, który tę drogę wypatrzył i zaprojektował.

Bogna Skoczylas

O Małym Lodowym – raz jeszcze

Treść notatki o Małym Lodowym zamieszczonej w „Taterniku” 3/97 (s. 26) zmusza mnie do odpowiedzi, gdyż prezentuje ona nieco zaskakujące dziś rozumowanie i szkoda, że wcześniej nie zostałem o niej powiadomiony, by móc od razu wyjaśnić zawarte w niej nieporozumienie.

Jan Gurnik stwierdza bowiem w tej notatce, iż porównując schematy dróg Ambroży-Wiśniewski z 1975 r. i Paleniček-Vargová z 1972 „można zauważyć, że są one dość podobne”, a ponieważ

znaczenie ma rok przejścia, to w monografii [!] południowej ściany Małego Lodowego opublikowanej w „Taterniku” 2/96 (s. 22-23) całkiem pominął istnienie drogi Ambroży-Wiśniewski, zamieszczając tylko drogę Palenička, na której – jak podkreśla – wspiął się osobiście i której „klasyfikacja odpowiada V stopniu trudności”.

Takie postawienie sprawy przez J. Gurnika jest, i to nie tylko dla mnie, zdumiewające. Otóż bowiem, jak już zwracałem uwagę, droga Ambroży-

-Wiśniewski w skały wchodzi mniej więcej w połowie między drogami Maška a Palenička, zaś w dolnej części ściany prowadzi pomiędzy nimi i dopiero gdzieś na trzecim wyciągu dochodzi w pobliżu drogi Palenička. Tam ją chyba przecina, a powyżej mogą mieć odcinki wspólne. Można się o tym też przekonać samemu właśnie porównując wspomniane schematy obu dróg. Oglądając je widać, że w żadnym wypadku drogi te nie są tożsame (już na wstępie jedna z nich idzie skosem w prawo, druga zaś w lewo). To, że drogi te prowadzą tą samą formacją skalną, a w pewnych miejscach przecinają się lub nawet mogą iść miejscami obok siebie, nie oznacza już iż są identyczne, minęły chyba bowiem te czasy (i to dobre kilkadziesiąt lat temu), kiedy każde przejście prowadzące jedną formacją skalną było tą samą drogą.

J. Gurnik pisząc, iż klasyfikacja drogi, którą on przeszedł, „odpowiada V stopniu trudności”, sugeruje, iż zawyżyliśmy trudności, bo dwa miejsca na naszej drodze wyceniliśmy na V+. Ale przecież oceniał on trudności drogi Palenička, a nie naszej, która jak wyjaśniono nie jest z nią tożsama. Dla lepszej jasności dodam jeszcze, iż w tamtym czasie nasz zespół sporo się wspiął i byliśmy (jak na owe czasy) nienajgorzej rozwspini, jak i oswojeni z pionami i trudnościami. Dzień wcześniej zrobiliśmy klasyczne przejście Hokejki (wariantem przez Krzyż), w stosunku do której droga na Małym Lodowym jest raczej łatwa i połoga. Tego lata zapisałiśmy na swoje konto np. niemal ówczesny komplet dróg na Mnicha, 3 drogi na Kazalnicy Mięguszowieckiej (Długosza od dołu, Filar, dirretisimę od dołu), jak stwierdził wtedy Andrzej Matuszyk, zamierzający podsumować owe lato, najlepszy sezon tatrzański 1975 r. miał właśnie nasz zespół.

Należy też stwierdzić, że J. Gurnik zwracając uwagę na różnice w ocenie trudności jest stronnicy, gdyż gdyby przyjął jego podejście, iż rzeczywiście wspomniane drogi są identyczne, to powinien napisać o wszystkich rozbieżnościach. Zauważa jednak tylko, że zawyżyliśmy – według niego – ocenę trudności drogi o „+”, a przemilcza, że to co – idąc jego tokiem rozumowania – dla nas było ledwie II, dla Palenička jest V (vide I wyciąg) lub IV – (vide wyciąg ostatni).

Jako ciekawostkę dodam jeszcze, że choć już wówczas było to zabronione i karalne, to wspinając się na Słowacji sypialiśmy wtedy w kolebach. Najlepiej mieszkało się nam w Myszatce, sympatycznej, suchej, ciepłej i słonecznej kolebie, znajdującej się niedaleko sławnej Koleby Łomnickiej. Jedynym jej mankamentem był brak wody w bezpośrednim sąsiedztwie (trzeba było po nią chodzić kilkadziesiąt metrów). Choć Myszatka jest położona nieopodal turystycznego szlaku i łatwo dostępna, to jest

jednak dobrze ukryta przed ludźmi znajdującymi się w dolinie. Niestety, jest jednak doskonale widoczna z góry, z rejonu Łomnickiej Przełęczy, co przy obecnych środkach łączności sprawia, iż dziś nie daje już bezpiecznego mieszkania. Natomiast sypianie w Łomnickiej Kolebie było już wtedy ryzykowne. Filance noclegowiczów karali „pokutą” i wyganiali z koleby nawet późną nocą. Chyba taki właśnie los wtedy spotkał, już pierwszej nocy, innych wspinaczy z Polski, którzy przybyli do tej doliny w tym samym czasie co my. Była to jak zanotowałem „grupa Młodego” i Zbyszek. My w Myszatce sypialiśmy spokojnie.

Wojciech W. Wiśniewski

Buty na zimę

Artykuł o butach zatytułowany „Ruszamy” zamieszczony w „Taterniku” 3/97 jest napisany z punktu widzenia mieszkańca kraju alpejskiego. W dzisiejszych czasach swobodnej wymiany turystycznej informacji tam zawarte są oczywiście przydatne również dla polskich wspinaczy i turystów wysokogórskich.

Jednakże nieliczni już taternicy zimowi tymi informacjami nie do końca powinni się sugerować. Oczywiście nowa generacja butów skórzanych będzie przydatna dla każdego ekstremalnego wspinacza lodowego lub miksowego na niezbyt długich drogach (najwyżej jednodniowych). Nawiasem mówiąc krąg ludzi uprawiających ekstremalne wspinanie lodowe ostatnio zaczyna się częściowo pokrywać z ekstremalistami skałkowymi.

Klasyczne taternictwo zimowe po drogach w starym stylu, często z dalekimi podejściami i trudnymi zejściami, niesie ze sobą ryzyko biwaku. A w Tatrach zimą potrafi być naprawdę zimno.

Z tego wynika, że do takiej działalności (przynajmniej na razie) najlepsze są buty skorupowe. Tu uwaga, od czasu ich rozpowszechnienia prawie przestaliśmy słyszeć o odmrożeńiach stóp. Prawdopodobnie główną przyczyną tego jest to, że but skorupowy w odróżnieniu od skózanego nie wymaga specjalnej opieki na biwaku (podgrzewanie, wkładanie całego buta do śpiwora itp.). Do śpiwora wystarczy włożyć botek. Do podstawowej działalności w Tatrach zimą wystarczają średnie modele np. Koflach Clima (obecnie dostępny w odmianie Vario Complex) czy też Asolo AFS 103, ale Koflach Vario Expedition lub Extrem czy też Asolo Expedition też nie przegrzeją stóp.

W.T. Wajda „Dozent”

Wieści z gór

● W początku czerwca 1997 r. Adrian Nature, emigrant rumuński i doświadczony alpinista alaskański, zjechał na nartach liczącą 4250 m wysokości i bardzo rzadko odwiedzaną ścianę Wickersham Mount McKinley. Ma za sobą szereg zjazdów zachodnimi stokami masywu, tu jednak musiał czaić się przez kilka sezonów, by trafić na odpowiednie warunki. Z jednodniowym zapasem żywności znalazł się samotnie na wierzchołku północnym. Na samym początku zjazdu spadł po lodzie, zdołał jednak wyhamować lot, po którym zrzucił w dół plecak. Następnie zjechał 1500 m zawrotną stromiżną, po czym nastąpiło wyszukiwanie dalszej w miarę bezpiecznej drogi.

Lawinka i zapadające się mostki śnieżne stanowiły kolejne urozmaicenia. Gdy po 7 pełnych napięcia godzinach znalazł się na Lodowcu Petersa, musiał wędrować do szosy 45 km bezdrożami i przeprawić się wpraw przez McKinley River. Wickersham Wall została już wcześniej pokonana zjazdami – przez Amerykanów (1994) i Francuzów (1995), jednakże etapami i w znacznie gorszym stylu. Zdaniem strażników Denali National Park, zjazd Adriana, dziś już obywatela USA (dawne nazwisko Popoviei), jest w masywie Mount McKinley najśmielszym i najładniejszym technicznie wyczynem ostatnich 5 lat.

● 6 lutego 1997 roku pastwą płomieni padł popularny schron alpinistyczny w tzw. Bazie Japońskiej w Patagonii. Schron miał liczną klientelę (także z Polski), stanowił bowiem dogodny punkt wypady z jednej strony w „Torres”, z drugiej zaś w masywie Escudo i Fortalezza. Przeczekując pod jego dachem długie tygodnie niepogód, alpinści wyżywali się literacko i plastycznie, z dymem poszedł więc bogaty zbiór oryginalnych grafik, obrazów i plakatów, spłonęły też książki z opisami i schematami licznych dróg – w części nie mających nigdzie indziej dokumentacji. Władze lokalne odmawiają zgody na odbudowę tego bardzo tu potrzebnego obiektu, Baza Japońska leży bowiem w pięknym i ściśle chronionym patagońskim lesie.

● Próbowana wiele razy direttissima północnej ściany Thalay Sagar (6904 m) była jednym z najgłośniejszych problemów indyjskiej części Himalajów. Ścianę tworzą strome zalodzone płyty granito-

we, omiatane od góry lawinami pyłowymi, oświetlenie sprawia, że panuje tu stale dotkliwie zimno. Kilka lat temu (latem 1991) ścianę przeszedł dwuosobowy zespół węgierski, nie puścił go jednak podcięty stromiznami stożek szczytowy. Głośna była próba dwójki amerykańskiej (Kitty Calhoun i Andy Selters), która utknęła w zawierusze na platformie biwakowej na pełne 8 dni. Latem 1997 direttissimę pokonali w całości Athol Wimp z Nowej Zelandii i Australijczyk Andrew Lindblade, a ich przejście należy do czołowych osiągnięć sezonu w Garhwalu. Przypomnijmy, że drugiego wejścia na szczyt Thalay Sagar dokonała w roku 1983 wyprawa polsko-norweska, którą kierował Janusz Skorek.

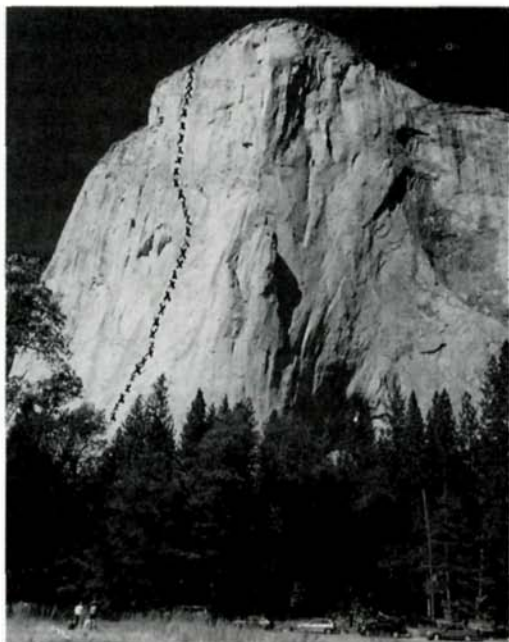
● „Człowiek-mucha” z Francji, Alain Robert, znowu wspinia się po ścianach amerykańskich drapaczy chmur. W Filadelfii przeszedł on północną fasadę 46-piętrowego „Blue Cross Building”. Wspinaczkę zaplanował na godzinę wieczornego spacerowego, co zapewniło mu tłumy widzów tak liczne, że trzeba było zatrzymać ruch na ulicy. W Ameryce Alain po każdym swoim wyczynie ląduje w areszcie, podczas gdy np. w Brazylii jest podziwianym i entuzjastycznie przyjmowanym ulubieńcem miejskiej gawiedzi. W Malezji po przejściu efektownej fasady Twin Towers w Kuala Lumpur został zaproszony na obiad przez rodzinę królewską. W 1998 r. być może dojdzie do skutku wspinaczka Roberta na warszawski Pałac Kultury i Nauki.

Informacje zebrał:
Władysław Janowski (Filadelfia)

Przejście ściany El Capitan

W dniach 13-22 października 1997 r. Jacek Czyż i Barbara Shelonzek-Olesiewicz przeszli drogę Sunkist (trudności: VI 5,9 A4) na łączącej ponad 900 m wysokości południowo-zachodniej ścianie El Capitan (2 305 m) w Dolinie Yosemite w Kalifornii. Zespół nie poręczał ściany ani też nie używał stałych poręczówek. Biwakował na stanowiskach: 6, 10, 13, 14, 19, 20, 24, 25 i 28.

Pogoda w czasie przejścia była bardzo dobra. Z 30 węzłów, jakie liczy sobie droga, 6 prowadzi-



*El Capitan w Yosemite z zaznaczoną drogą
Sunskit*

ła Olesiewicz. Sunkist jest drogą zrobioną przez Dale'a Barda i Billa Price'a w 1978 r. Jej trudności hakowe początkowo wyceniono na A5, ale obecnie są mniejsze i wynoszą A3+/A4. Mimo to droga stale nie jest popularna i nie ma wielu powtórzeń.

Władysław Janowski

Allô, ici Chamonix...

Indiańskie lato

Skończyło się lato 1997, nastąpiła jesień – l'été indien – jak się tu teraz z amerykańską mówi. Sezon podzielił się na dwie połowy: do ok. 20 lipca warunki były fatalne, potem się rozpogodziło i w góry z miejsca ruszyły tłumy. Piękna pogoda trwa do dziś, poza paroma ładnymi wejściami Rosjan nie było jednak w Alpach znaczących sukcesów wspinaczkowych. Coś się w alpinizmie zmienia – górę bierze kierunek turystyczno-rekreacyjny. W pierwszy weekend października sezon zakończyła oryginalna impreza. 500 rowerzystów wszystkich pokoleń, w tym wiele dzieci, zablokowało na 5 godzin międzynarodową trasę przez wiadukt Egratz, by zaprotestować przeciwko nadmiernemu ruchowi ciężarówek (2000 dziennie) przez naszą piękną

„dolinę” i tunel pod Mont Blanc. Manifestację zorganizowało rzutkie Towarzystwo Opieki nad Rejonem Mont Blanc (ARSMB – przydałoby się podobne Zakopanemu!). Przez cały sezon widziałem w mieście auta z polską rejestracją, wielu znajomych przewinęło się przez mój dom w Les Praz. Jako ostatni odwiedzili mnie w końcu września zakopianie. Jedną grupę przyprowadził Arek Gąsienica-Józkowy, drugą – Piotr Konopka, który był z klientami na Mont Blanc. Wydarzenie symptomatyczne: Ostatnio nasza Société Touristique wydała piękny folder, propagujący Aiguille du Midi (3842 m, słynna kolejka linowa) w języku... polskim. „Cieszymy się, że będziemy Państwa gościć. Życzymy miłego pobytu”. Wydawnictwo to jest miarą polskiego ruchu w rejonie Chamonix, a przynajmniej miarą nadziei, jakie tutejsi menedżerzy turystyczni wiążą z nim na najbliższą przyszłość.

Tadeusz Wawkonowicz

Ratownicy podsumowują sezon

Kiedy w końcu lipca 1997 roku w ciągu tygodnia zginęło w masywie Mont Blanc 15 osób (w tym znany ratownik Régis Michoux na Verte), zdawało się, że lato 1997 pobije wszelkie czarne rekordy. Tymczasem bilans zamknięcia sezonu wskazuje na to, że nie było gorzej niż w roku zeszłym. Peleton Żandarmerii Wysokogórskiej Haute-Savoie (PGHM) interweniował co prawda przeszło 1000 razy (latem 1996 tylko 890 razy), ale łączna liczba ofiar i osób zaginionych zatrzymała się na 37 (przy 40 w roku 1996). Wzrosła natomiast nieco liczba ciężko rannych: 267 wobec 231 w roku poprzednim. 80% wszystkich akcji i wypadków skupia się w masywie Mont Blanc. Ofiary są w większości ludźmi bez doświadczenia, bez sprzętu, a nierzadko i bez elementarnej kultury górskiej. W miejscowej telewizji znów rozgorzała dyskusja na temat wprowadzenia – wzorem Szwajcarii – opłat za akcje ratunkowe. Szef PGHM kpt. Jean-Claude Gin powiedział, iż nie jest zwolennikiem takiego rozwiązania, myśli raczej o działaniach prewencyjnych, polepszeniu pracy mediów, które przy wypadkach ciągle bardziej szukają sensacji, niż sposobów formowania modelu turysty alpejskiego. Natomiast mer Chamonix Michel Charlet uważa, że dopóki ratownictwo górskie finansuje państwo, dopóty wszystko jest w porządku, ale kiedy przy redukcjach budżetowych wydatki te spadną na komuny – trzeba będzie wystawić ludziom rachunki, nie będzie innego wyjścia.

Tadeusz Wawkonowicz

News z Katowic

W czwartek 27 listopada 1997 roku miało miejsce wydarzenie o ogromnej wadze dla wspinaczkowego życia Górnego Śląska, a i całej Polski. W sali gimnastycznej katowickiej Akademii Wychowania Fizycznego przy ul. Raciborskiej 1 dokonano oficjalnego odsłonięcia nowej sztucznej ściany wspinaczkowej, którą zbudowano na miejscu starej, funkcjonującej od 1993 r.

Otwarcia, czyli przecięcia wstęgi, dokonał JM Rektor AWF prof. dr hab. Janusz Nowotny. Wśród gości obecni byli przedstawiciele fundatorów ściany, to jest UKFiT-u oraz władz miejskich, a także czynniki wojewódzkie, zaproszeni goście, no i oczywiście przedstawiciele mediów: TV, radia, gazet itd. W rezultacie nową ścianę mogli oglądać widzowie „Teleekspresu”, „Panoramy” i pomniejszych serwisów informacyjnych. A jest na co patrzeć, gdyż katowicki panel to obecnie najciekawsza ściana w Polsce.

Oto kilka danych: powierzchnia – 185 m², szerokość – 13,5 m, najwyższa wysokość – prawie 10 m. Ściana wyraźnie dzieli się na trzy części: prostokątny pas przewieszek zmontowanych z profilowanego laminatu (z wmontowanymi chwytami wpuszczanymi i nakładanymi), pionowy płaski panel z wydzielonymi pasami o regulowanym (ręcznie) nachyleniu (każdy o wysokości 5 m) oraz prawe skrzydło ściany, obrócone profilem i solidnie przewieszzone (okap o wysięgu prawie 7 m). Na strefie przewieszzonej zainstalowano chwyt nakładane, wpuszczane i tzw. Moon Disc (o średnicy: 0,3 i 0,75 m) produkcji firmy ENTRE PRISES. Profilowana część ściany powstała jako wynik współpracy z niemiecką firmą T-WALL. Koszty całości przekroczyły 200 tys. zł. Jednym słowem: Ślązacy dorobili się prawdziwego cacka. Można tylko zazdrościć poparcia, jakiego skalnej wspinaczce udzielają na Akademii jej władze, a zwłaszcza... dyrektor administracyjny dr Alfred Sosgórnik.

Ściana służy jako warsztat pracy naukowej Zespołowi Dydaktyki Wspinaczki Skałkowej (kieruje nim niżej podpisany).

Prowadzone są na niej zajęcia wspinaczkowe ze studentami akademii. Po południu i w weekendy może się na niej wspiąć tzw. szeroka publiczność,



Ściana wspinaczkowa w katowickiej AWF

płatną średnio 3 zł za dwie godziny wspinania. Amatorom tych rozkoszy warto przypomnieć, aby upewnili się (np. telefonicznie: 032-513-225 – portiernia sali) czy i kiedy ściana „chodzi”. Osoby spoza Katowic mogą ewentualnie dokonać rezerwacji w dniu przyjazdu na ścianę. W przyszłości ma nastąpić dalsza rozbudowa śląskiego panelu oraz instalacja ściany sufitowej (tzw. piwnica wspinaczkowa) i siłowni. Oby się to stało jak najszybciej.

Wacław Sonelski

Nowe punkty asekuracyjne w jaskiniach tatrzańskich

Od początku 1997 r. pod egidą Komisji Taternictwa Jaskiniowego PZA prowadzona jest akcja osadzania stałych punktów asekuracyjnych w jaskiniach tatrzańskich. Petzlowskie kotwy – Batinox, dodatkowo przedłużane, osadzone są w miejscach starych spitów za pomocą kleju HY 150 (produkcji Hilti). W ten sposób ubezpieczone są już jaskinie: Kasprowa Niżnia, Czarna, Ptasia Studnia, Nad Dachem oraz Miętusia (ciąg główny do Błotnych Zamków, Wielkie i Ciasne Kominy). Działanie w tak wyposażonych jaskiniach będzie znacznie bezpieczniejsze, a przy okazji poprawi się jego komfort, gdyż nie trzeba już będzie używać plakierek wkręcanych w spity.

A. Gajewska

APEL

Koledzy

Pragniemy poinformować, że do kalendarza tegorocznych imprez, organizowanych przez PZA, a dotowanych z budżetu UKFiT, wprowadziliśmy nową imprezę mającą na celu indywidualne doszkalanie młodzieży we wspinacze letniej. Uważamy, że wobec stale rosnących kosztów sprzętu i pobytu w Tatrach, pomoc w postaci częściowo lub całkowicie bezpłatnych noclegów na obozowiskach PZA i dozór instruktora-konsultanta są celowe dla podniesienia kwalifikacji młodych adeptów sztuki wspinaczkowej.

W związku z powyższym zwracamy się do Klubów z prośbą o zgłaszanie do biura PZA, w nieprzekraczalnym terminie do 15 kwietnia br., list kandydatów. Impreza odbędzie się od 20 lipca do 10 sierpnia. Dotyczyć będzie członków Klubów zrzeszonych w PZA, posiadających kartę taternika uzyskaną w latach 1996/98 i legitymację z opłaconymi składkami. W przypadku ilości zgłoszeń przekraczającej przyjęte limity zastrzegamy sobie prawo wyboru według kryterium wieku oraz wyników w dotychczasowym szkoleniu.

Dofinansowanie dotyczy noclegów podczas działalności wspinaczkowej. Siedem dni bezwarunkowo, pozostałe (do 14) w zależności od realizacji dróg wspinaczkowych. Szczegóły regulaminu dofinansowania prześlemy do Klubów do końca kwietnia.

Zarząd PZA

Prenumerata na rok 1998

Cztery zeszyty 16 zł
(po 4 zł jeden)

Prenumeratę prowadzi
AGADE

Wpłaty na konto:
Bank Zachodni S.A.
II Oddział Warszawa
11201027-8253-136-3000

Na blankiecie wpłaty prosimy
koniecznie podać swój adres.

SZKOŁA WSPINACZKOWA

Jacek Patrzykont, Rafał Kardaś
instruktorzy PZA

Szkolenia:

- ☛ na sztucznej ścianie
- ☛ skałkowe
- ☛ tatrzańskie na kartę taternika

Szkoła zapewnia
sprzęt wspinaczkowy

Adres korespondencyjny:

02-786 Warszawa, ul. Zamiany 5/117
tel./fax 641-85-77
oraz 659-82-60 (wieczorem)

Jaskinie polskich Karpat fliszowych

Staraniem Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi ukazały się kolejne dwa tomy z serii inwentarzy rejonów jaskiniowych Polski. Obejmują one zachodnią i środkową część wymienionego w tytule obszaru: tom 1 – jaskinie Pogórza Śląskiego, Beskidu Śląskiego, Kotliny Żywieckiej i Beskidu Żywieckiego (dokumentacje 141 jaskiń polskich i 4 po słowackiej stronie w pobliżu granicy), a tom 2 – jaskinie Beskidu Małego, Makowskiego, Pogórza Wiśnickiego, Beskidu Wyspowego, Gorców, Beskidu Sądeckiego, Pogórzy Rożnowskiego i Ciężkowickiego (155 obiektów). Przygotowywany do druku tom 3 zawierać będzie dane z obszaru Pogórza Dynowskiego, Gór Sanocko-Turczańskich i Bieszczad.

DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI

7-dniowy kurs wspinaczki
w "Sokolikach" w/g programu PZA.
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe.
Ponadto wspinaczki rekreacyjne
w skałkach i górach.

Instruktorzy PZA:

Bogna Jakubowicz
Piotr Jaskiewicz
• Tomasz Kliś
Wojciech "Dozent" Wajda

Informacje i zapisy w sklepie:

50-013 Wrocław **CAVE**
ul. Czysła 7 **SPORT**

tel/fax (0-71)72 58 38

e-mail: dozent@onix.com.pl

CONTENTS

- 1 - Disgusting alternative
- 2 - Ten days in Dolomite
- 4 - Poles in polish and world caves
- 7 - Some trifles and Mont Blanc
- 11 - Ost Göll
- 12 - Petit Dru – autumn 97
- 14 - Jaworowy Mur on the north side
- 21 - From bookshop s shelf
- 22 - How it is?
- 23 - Guidebook about Bawarian Alp
- 24 - Diretissima of Raptawicka Turnia
- 26 - Excursion towards west
- 29 - Letters, controversies
- 32 - Mountain news
- 34 - Other things

T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erasma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92
e-mail: anklos@friko3.onet.pl

Kolegium redakcyjne:

Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Wojciech Świącicki

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na komputerze, o przekazywanie ich w formie dyskietek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker, Word For Windows, Ami PRO

ALPINIZM - TURYSTYKA

Polecamy
w szerokim zakresie:

- » Sprzęt alpinistyczny i turystyczny
- » Literaturę górską
- » Obuwie turystyczne
- » Odzież z tkanin POLAR, GORE-TEX, HighTech MICRO

Instruktaż i szkolenie w zakresie
techniki alpinistycznych
Sklepy prowadzą alpinistów i grotolazę

Wrocław: ul. Czysła 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 72-58-38

 **alpinus**

SKLEP FIRMOWY
ul. K. Szajnochy (róg Gepperta)
tel. (071) 72-36-31

Zapraszamy

Dla stałych klientów zniżki

SKLEPY TURYSTYCZNO-WSPINACZKOWE

90-423 ŁÓDŹ
Piotrkowska 79
(Pasaż)
tel. (0-42) 33-07-44

Paker

<http://www.paker.com.pl>

00-503 WARSZAWA
ŻURAWIA 6/12
(przy Kruczej)
tel. (0-22) 622-52-87

Nasza oferta to szeroki wybór sprzętu wspinaczkowego, biwakowego plecaków, odzieży, butów i akcesoriów...

Znajdziesz u nas wszystko czego potrzebujesz w górach i jaskiniach, latem i zimą, od Tatr po Himalaje oraz w pracach wysokościowych.



*Pójdź w ślady Andrzeja Zawady!
Wyposażamy w najwyższej jakości
odzież i sprzęt,
wyprawy i ekspedycje – na korzystnych,
indywidualnie negocjowanych warunkach.*



U nas zaopatrują się profesjonaliści: instruktorzy PZA, przewodnicy, ratownicy...

Centralny Ośrodek Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu na Hali Gąsienicowej „Betlejemka”

oferuje gruntowne szkolenie taternicze latem i zimą:

- ✓ licencjonowani instruktorzy PZA,
- ✓ najlepszy sprzęt renomowanych firm zachodnich: Edelweiss, Beal, Salewa, Charlet, Camp, Petzl,
- ✓ wykłady i prelekcje ilustrowane przezręczami,
- ✓ bogaty księgozbiór,
- ✓ własny samochód terenowy,
- ✓ wspinaczki w rejonie Hali Gąsienicowej i Morskiego Oka,
- ✓ bezpieczny system łączności radiowej,
- ✓ noclegi, koce, gaz do gotowania.

Zgłoszenia za pośrednictwem klubów lub indywidualnie:
COS PZA, skr. poczt. 399, 34-500 Zakopane tel: (165) 124-01

www.pza.org.pl